
AS
PRZED BALEM...
Nr. 4
22-go I. 1939
CENA 40 GROSZY

FELIKS DANGEL

Panie nieco zapędliwe...

WSPOMNIENIE Z DAWNYCH LAT

Wiszą w złocistych ramach tuż obok siebie kontrefekty pań słodkich i matron wspaniałych w wzorzystych robronach. Jedne co młodsze z kwiatami lub motylem barwistym na ręku o tonie muszli perłowej i damy dostojne z koronką lub modlitewnikiem w ręku. Białe szyje chłodzi sznur pereł, morzu wydartych, bądź na jedwabnej wstędze krucyfiks rzeźbiony.

Są te, które wspomnienie dziecięce pamięta i te które dawno odeszły, a tylko kronika o nich pozostała.

Nie zawsze były takie, jakiemi je mistrz palety uwiecznił. Jagniątka słodkie, bawidełka alkowiane, dobre żony i niezastąpione kochanki, nie były wszystkie matrony w dostojności poważne, a raczej takiemi w życiu być winny, jak je artysta imaginował.

Dziewczątko słodkie z ptaszyną na dłoni, o uśmiechu Greuzowskiego aniołka, sekutnicą za życia była, żółcią przeżarta, mężów jak torniury zmieniająca, półdjablem, w pięknej doczesnej powłoce.

A matrona dostojna?

A bądźcież nieba jej łaskawe. Pod koronkową mantylką żądze grzeszne taiła, niebaczna na wiek i sytuację dostojną niewieścią dwory najeżdżała, z rohatyną na czeladną służbę się miotała, a w życiu na tytuł Heroda Baby zasłużyła...

Gdy efeminacja jest zawsze scherleniem mężczyzny, zbytnia „maskulizacja" kaleczy i koślawi niewiastę, tworząc typ z niej Bogu obmierzły, a piekłom niemiły.

Ho! ho! Wiadomo jak to bywało, a sława pani szambelanowej Szumowiczowej od Dźwiny po Horyń sięga.

Miała tyle lat co i wsi imci pani Szambelanowa, a do sakiewki pod piernatem ukrytej płynęły dusie z lasów Wileńszczyzny, ługów Polesia i z inflanckich dóbr.

Trzech mężów była już pochowała, z których ostatni, na łożu śmierci wyznał: chwila konania najsłodszą chwilą wyzwolenia dlań będzie, mając żonę, która głodem morzy służbę, grosza skąpi dla biedoty, a tylko o swoich zachciewańkach rozmyśla.

Robotną zaś była wielce. Z modlitwą na ustach, smagała niesforną (według jej mniemania) służbę, a ksiądz proboszcz co niedzieli, środy i piątku, winien był w pałacowej kaplicy solenne modły odprawiać. Zdawałoby się, w plejadzie niezadowolonych on właśnie winien sobie los chwalić. Ale niech Bóg zachowa! Sutannę duszpasterza jak rzeszoto przetartą, utrzymywał tylko cudem Ten, co o sługi swoje dba i który Daniela z lwiej jamy żywcem wyprowadził. Kożuszek księżunia, żywo jego łysinę przypominał a dach modrzewiowego kościółka zdarł się i wygiął, grożąc zawaleniem.

To też nic dziwnego, że gdy przyszło się zacnemu parochowi, nad trumną „kollatorki" mowę później powiedzieć, zgromadzonej i przyznać należy zadowolonej familji zadeklarował, iż w długim swoim żywocie, bo sto czteroletnim, nieboszczka szambelanowa, jednego dobrodziejstwa dokonała.. że nareszcie umarła. Ażeby wyrozumieć nastrój u katafalku zgromadzonych, w żywocie nieco zapędliwej damy poszperaćby trzeba. Do plebanji (a była już wtedy szambelanowa secundo voto wdową), zajechał młody wikarjusz Litwin Polulis. Różowy, gładziuteńki, skromny bocheneczek pobożności, upieczony dopieroco w seminarjum. Szambelanowej odrazu się wydał odpowiednim na domowego kapelana. Obiecała wsparcie świątyńce i trzy ruble dla wikarjusza ekstra (!!) miesięcznie, z tem, że kunigas („ksiądz" po litewsku) co dnia na modły zachodzić będzie do pałacu.

Jakież było zdumienie służby folwarcznej, gdy coś piątego dnia pobytu wikarjusza, zakotłowało się w okolicy skandalem. Nie zadzwoniono jeszcze na Anioł Pański, gdy główne drzwi pałacu z trzaskiem się otwarły, we wnęce ich ukazała się przerażona postać wikarjusza, który z wyrazem grozy w oczach zaczął przez park, sutannę podniósłszy, uciekać. Za księdzem pogalopowała z dubeltówką w ręku... pani szambelanowa!

I ponoć go na mokrym brodzie dopędziła i zawiodła zpowrotem do pałacu. Na drugi dzień wikarjusz nazawsze opuścił okolicę...

Cóż się okazało?

Pobożnej niewieście wydało się, iż za grzechy swoje winna doznać kary biczowania i że do wypełnienia tej pokuty właśnie wikarjusz się nadaje. W czasie, gdy Polulis odmawiał pacierze, szambelanowa zaczęła się rozbierać.

— Coż mościa szambelanowa... wyczyniasz? — zapytał nieco przerażony asceta.

— Rozbieram się, a ksiądz rózgę bierz i będziesz chłostał!

Wobec tak niespodziewanej skruchy kunigas wziął nogi za pas i dopiero flintą teroryzowany, zadość żądaniom grzesznicy uczynił... A gdy wikarjusza nie stało, do ceremonjałów pobożnych używało się, zagłodzoną i teroryzowaną pannę respektównę Jadwinię.

— Jadwinia!... na modlitwę pora!

— Jaż panieczka, jeszcze dziś nic nie jadłszy...

— Tym milszą Bogu będzie modlitwa.

Na „genuflectorium" klękały obie, a Jadwinia odmawiała modły, którym przysłuchiwała się szambelanowa.

— Boże błogosław zbiory majątków pani szambelanowej: Niedźwiedziszek, Brzeźnicy, Wolkenburga, Horodyńców, klucza Pioseczyńskiego i Amelina.

— Amelina... nie potrzeba! — wtrąca szambelanowa — jest w dzierżawie!

Ponieważ innych pań korowód czeka dostojny, nie zatrzymujmy się zbytnio przy szambelanowej. To tylko dodać należy, że lat sześć przed śmiercią w rohatynę uzbrojona (mając lat 98) porwać zamierzała osiemnastoletniego chłopaczynę, by go poślubić i jemu dobra zostawić a nie rodzinie, której nienawidziła. Rodzina ubiegła zapędliwą panią sama porywając przerażonego Zygmusia i trzymając go w ukryciu.

Nie mieli też szczęścia do żon starościnkowie Turowiccy. Jedna dość małżeńskich perypetji z Janem się nażywszy, w czasie polowania siekańcami doń z lufy wygarnęła, a gdy ten nie padł, bo siekańce bekieszę tylko przebiwszy w sadle utkwiły, zawołała:

— Nie ruszaj sia Jan! Z drugiej lufy poprawia!!

Rzecz oczywista, że po takiej deklaracji, Jan na Tellowe popisy pani małżonki nie czekał, a poniósł się przez ośnieżone rojsty i aż w trybunale grodzkim tchu zaczerpnął.

Źle żenić się dwu braciom z dwiema rodzonemi siostrami, bo przywary u małżonków jednakie bywają.

Nie byłoby już zatem i Turowickich w spisie szlachty i rycerstwa polskiego, gdyby nie przypadek, który ich od żon nieco zapędliwych uchronił. Jak z Janem było, opowiedzieliśmy przed chwilą. Ale Józefa inna kolej spotkała. Będąc rodzoną siostrą Janowej żony, a co do skuteczności broni towieckiej ostatecznie się rozczarowawszy, inny sposób na Józefa obrała. Postanowiła ślubnego... wysadzić w powietrze. Wiedząc, że w letnie popołudnie pan małżonek chętnie drzemie w odryńce sianem pachnącej, mieszek prochu pod zwał siana podłożyła i ognia skrzesała.

Efekt był niespodziewany! Zniosło dach słomiany odrynki, nad którym powiewały puch i pióra panamężowej pierzyny, runęły drewniane ściany, a z tlejącego się siana, wyszedł Józef cały i zdrów, tylko nieco prochem okopcony.

A pani Józefowa widząc, że eksplozja nie pomogła, dwukrotnie jeszcze męża na cel ze sztućca brała, aż ten w Kurji Metropolitalnej dla siebie i dzieci separationem wybłagał. Po miodach małżeńskich pozostał mu jeno tick nerwowy. Gdy jakaś niewiasta weszła do pokoju, kurczył się, jak gdyby pod stół chciał się schować. Dożył jednak szczęśliwie osiemdziesięciu lat.

Były takie panie zapędliwe nieco i matrony, których lata wiekowe nieokiełznały.

Ale i żywią jeszcze nieodrodne ich córy.

Czy pisać o nich?

Czy wspomnieć o tem, jak to młoda dziedziczka Jerzyszek (inaczej nieco się ta fortuna nazywa) po domu i folwarku zwykła chodzić w stroju, którego negliżu pozazdrościć jej może Wenus Rubensowska i jak to w noc poślubną, przez okno uciekało od niej, wyzbywając się dalszego pożycia, hrabiątko inflanckie i jak to pan hrabia w krzakach do rana pod huraganowym ogniem dwu rewolwerów przesiedział (przez nią danym) i raz na zawsze Polskę już potem opuścił? I o innych nieco zapędliwych wyczynach tej pani czyż można mówić?

Alboli inną snuć opowieść, ale już rzewnie extraordynaryjną o wielce dobrej i zacnej, choć dziwnej nieco pani, białego pałacu wśród poleskich błot położonego, pod kolumnami którego powstało szereg myśli i dzieł szlachetnych, ale też i niejedna anegdota.

Nie... pisać o tem i nie wypada... i nie zawsze bezpiecznie kronikarzowi. Uczyni to historius uczony, tak jak myśmy to opisali o szambelanowej na Wolkenburgu.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

ZAŁOŻYCIEL I WYDAWCA: MARJAN DĄBROWSKI
REDAKTOR: JAN MALESZEWSKI
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 4 **Niedziela, 22 stycznia 1939** **Rok V**

ASY NUMERU 4-GO:



Fot. Wide World — Londyn.

Wielką sensację Londynu stanowi obecnie 21-letnia księżniczka jawajska Chiyo, która występuje w jednym z najelegantszych londyńskich hoteli. Księżniczka Chiyo, która zresztą ma za sobą liczne występy w stolicach europejskich, śpiewa w czterech językach, największe jednak sukcesy zyskuje dzięki swym piruetom, gdyż w jednej minucie umie obrócić się aż 250 razy! Na zdjęciu ks. Chiyo w oryginalnym kostjumie jawajskim.

MALARZ SALONÓW

Bolesław Czedekowski

Znakomity portrecista — Bolesław Czedekowski — zawitał do kraj. Na ostatnim Salonie warszawskiej „Zachęty" — obok imponującego młodzieńczym rozmachem dzieła mistrza Kossaka „Baterja konna na pozycji" — szczególne zainteresowania wzbudzały portrety przybyłego do kraju z Paryża Bolesława Czedekowskiego. Jeden z nielicznych współczesnych polskich malarzy, którego nazwisko znane i cenione jest w Ameryce, Francji, Anglji, Belgji, Niemczech.

Bolesław Czedekowski uprawia arcytrudny dział malarstwa, zwany portretem oficjalnym. W dziełach swych artysta tworzy dokument historyczny, przedstawiający daną osobistość w pozie i z akcesorjami określającymi wyraźnie jego społeczne i urzędowe znaczenie i stanowisko. Wielcy portreciści ujmowali przenikliwie psychikę swych modelów, jak to najdoskonalej uczynił hiszpański portrecista z XVIII wieku, Velazquez, który w wizerunku papieża Inocentego XI odtworzył nie tylko dostojność i majestat papieża, lecz psychiczną głębię osobowości modela, górującą nad schematem reprezentacyjnym. Sztuka portretowa znakomicie rozwinęła się we Włoszech, a reprezentantami jej najznakomitszymi byli Tycjan, Leonardo da Vinci, Sebastiano del Piombo i Tintoretto. Mistrzowie ci odtworzyli człowieka w momencie najwyższego jego psychicznego napięcia, odzwierciedlając w swojej sztuce przenikliwie charakter modela. Holendrzy z XVIII wieku, jak Rubens, Van Dyck, Franciszek Hals, Rembrandt stworzyli obok portretów indywidualnych, kompozycje przedstawiające grupy ludzkie w swobodnym, nieupozowanym ruchu.

Na kształtowanie smaku artystycznego i kompozycyjnego w ujęciu modela wpłynęli w twórczości Czedekowskiego przedewszystkiem angielscy portreciści XVIII wieku, jak Reynolds, Gainsborough, Lawrence, Millais, oraz Amerykanin Sargent. — W studjach opartych na tle twórczości tych malarzy, Czedekowski zdobył nie tylko tajemnicę malarskiej techniki, lecz wdzięk i smak charakteryzujący utwory tego malarza, wystawiającego swe dzieła na obecnej wystawie warszawskiej „Zachęty". — Czedekowski wzbogaca szereg naszych portrecistów tego rodzaju, rozpoczęty przez Matejkę, a uprawiany przez Pochwalskiego, Lentza, Axentowicza, Tadeusza Stykę, Stefana Norblina, Bolesława Barbackiego i in.

Znany artysta zaszczepiony ma w swej duszy jakiś „bakcyl" włóczęgostwa, który najczęściej prześladuje ludzi sztuki. — Są oni ciągle głodni wrażeń, za wszelką cenę pragną zmiany, muszą wędrować z miejsca na miejsce i choćby najlepiej było im „tu" — to przyzywa ich nieodparcie dalekie „tam"...

Po skończeniu gimnazjum w Stanisławowie wyjechał Bolesław Czedekowski na studja malarskie do Wiednia. Uczęszczał do Akademji, wreszcie był uczniem niezrównanego portrecisty Kazimierza Pochwalskiego, zamieszkałego w Krakowie. Jako jego najzdolniejszy uczeń szybko zaczął otrzymywać zamówienia. Wkrótce przed młodziutkim Czedekowskim otworzą się wrota pałaców arcyksiążąt, dostojników, ministrów, feldmarszałków Austrji. — Ba!... maluje samego cesarza Karola!

Artysta dobrze się czuje w atmosferze sprzyjającej rozwojowi jego talentu — w Wiedniu — w mieście które kocha sztukę, otacza ją opieką, w mieście, w którem nie brak było szczodrych mecenasów i wielbicieli Piękna.



Marszałek Foch,
portret B. Czedekowskiego.



„Artysta z córką".

Tu młody artysta wychowuje swą jasnowłosą Muzę, która stała się mu przez całe życie oddaną towarzyszką złej i dobrej woli. Wśród obrazów Czedekowskiego zwracają uwagę jego autoportrety z młodą, śliczną damą. — Zwiedzający, patrząc na tę przytuloną do siebie parę, snuje rozmaite domysły!...

— E, wątpię, aby ona długo mu była wierna...

Jakaś leciwa dama obrusza się z oburzeniem:

— No, popatrz jacy są ci mężczyźni!... Już ma siwe skronie, a umizga się do takiej osiemnastolatki!...

A no, cóż, ludzie lubią oczerniać bliźnich... Ta, dla niektórych niedobrana para, to... ojciec i córka!... Tak, córka, która odziedziczyła po ojcu zdolności malarskie i jest jedyną w swoim rodzaju studentką, zmieniającą, o ile nie co rok, to... co kwartał akademję i profesorów! Kształciła się w Paryżu, Wiedniu, a obecnie uczęszcza do Szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie.



„Portret kobiecy".



Dyrektor protokołu dyplomatycznego francuskiego MSZ hr. de Fouquières i jego brat, znany paryski adwokat.

Panna Helena Czedekowska najbardziej lubi malować akwarelą, a w swym dorobku artystycznym posiada sporo udanych pejzaży i studjów portretowych.

Gdy zadaję jej pytanie, gdzie się czuje najlepiej, jest w kłopocie. Odpowiada mi, że wszędzie, że właśnie to koczownicze życie najbardziej jej odpowiada, że o ile w jakiemś mieście przebywa dłużej niż rok, już chciałaby jaknajprędzej stamtąd uciec! Tak, bo też rodzina Czedekowskich — to globtroterzy z zamiłowania i z przekonania. Zaraz po wojnie wyjechał artysta z rodziną do Ameryki, którą odwiedził następnie 14 razy! — 14 razy — to znaczy 28 przejazdów przez ocean! Tego można pozazdrościć.

— Jakże czuł się pan w Ameryce? — pytam p. Czedekowskiego.

— Doskonale! Portretowałem różne znakomitości Nowego Świata: prezydenta Loree, gubernatora Whitmana, prezydenta Brobeck-Landrenter, Mrs. Tobin, rodzinę Rusch Sturges i wielu, wielu innych. Kiedyś wykonałem 14 portretów w ciągu 2-ch miesięcy.

Artysta posiada w swej bogatej kolekcji portrety licznych znakomitości i wielkich ludzi high-lifu Europy i Ameryki, m. in. portretował on prez. Mościckiego, ambasadora Chłapowskiego, Chamberlaina, hrabinę de Bartillat, córkę ambasadora Chłapowskiego, Piotra i Andrzeja hr. Becq de Fouquières, marszałka Focha i wielu innych.

— Kiedyś — opowiada artysta — po obiedzie odpoczywaliśmy z żoną w atelier. Krótką naszą drzemkę przerwało niespodziewane przyjście jakiegoś gościa. Przetarłem oczy, patrzę, a oto stoi przed nami Marszałek Francji i Polski Ferdynand Foch. Nie zapowiedziawszy dokładnie swej wizyty — zjawił się nagle, bez pompy i asysty. Był ujmująco miły i uprzejmy.

— A jakie są ostatnie pana prace?

— Przed samemi świętami skończyłem portret inż. Stefana Ossowieckiego.

— I jak świetnie wypadł! — wtrąca z entuzjazmem słynny jasnowidz, który przysłuchuje się naszej rozmowie. Gdy powiesiłem portret ten nad łóżkiem, nie mogłem spać, gdyż czułem ciągle obecność artysty!

— Zapewne zostawił pan w obrazie „kawałek" swej duszy? — zwracam się do artysty.

— Napewno tak jest — mówi dalej inż. Ossowiecki. — Cieszę się, że pan Czedekowski otrzymał złoty medal na Salonie. On jeden na niego zasłużył.

Oglądając fotografje dzieł p. Czedekowskiego, uwagę moją przyciągnęła główka uroczej osóbki.

— Któż to taki? — pytam.

— Ach! — wyrywa się westchnienie z piersi artysty — ten portret już nie istnieje.

— Dlaczego? Co się stało?

— A, to romantyczna historja! Portret ów zamówił u mnie pewien zamożny Francuz, który kochał się w tej złotowłosej piękności. Plotkarze donieśli jej, że wielbiciela odwiedziła jakaś kobieta. Zrozpaczona piękność wpadła do mieszkania kochanka, chcąc ugodzić go nożem, a ponieważ go nie zastała, — mój obraz stał się pastwą jej namiętności! Pocięła całe płótno na kawałki!

— To rzeczywiście brzmi sensacyjnie! — Ale — przeskakując do innego tematu — chciałabym się jeszcze dowiedzieć, jakie jest pańskie zdanie o współczesnych kierunkach w plastyce?

Oglądając wystawy w większych ośrodkach kulturalnych,

Dokończenie na str. 12-tej.



Powyżej: „Przyjaciółki mojej córki".



Na lewo: „W loży".

DLACZEGO POPROSTU
KIEDY MOŻNA I W SPOSÓB BARDZIEJ SKOMPLIKOWANY

Druga połową ubiegłego stulecia odznaczała się między innemi dziwactwami i tem jeszcze, że każdy pragnął zostać wynalazcą. Ta moda na wynalazki spowodowała istną powódź patentów. Ludzie dosłownie wysilali się, by najprostsze urządzenia skomplikować przez urojone ulepszenia, które rzecz prosta ulepszeniami nie były, a służyły wyłącznie jako pretekst do zgłoszenia patentowego. Kto nie mógł wylegitymować się takiem zgłoszeniem, tracił w opinji w porównaniu z „wynalazcami", którzy nieraz po kilkadziesiąt patentów mieli na swem sumieniu.

I dziś, gdy przeglądamy kartoteki urzędów patentowych, nie możemy powstrzymać się od szczerego śmiechu na widok wielu dziwactw, jakiemi „wielcy wynalazcy" pragną ludzkość uszczęśliwić. Ale to nic w porównaniu z pomysłami naszych dziadków — królów wynalazczości fine de siecle. Na temat ich dziwactw śpiewano po kabaretach piosenki. Karykaturzyści wszystkich narodów pokazywali ich pomysły w krzywem zwierciadle satyry. Oni jednak, niewzruszeni w świętem dążeniu do ulżenia ludzkości, płodzili swe fantastyczne pomysły z wytrwałością godną lepszej sprawy.

Dziś mało kto wie, do jakich granic bezmyślności posuwali się owi „wynalazcy". Dlatego interesującą rzeczą będzie bodaj pokrótce przedstawić i w kilku przykładach dać czytelnikom próbkę tych uporczywych dążeń.

Pewien Wiedeńczyk, który obserwował zachowanie się dandysów, wpadł na pomysł skonstruowania minjaturowego parasola, przeznaczonego wyłącznie do ochrony kapelusza przed deszczem. Ów „wynalazca" zauważył bowiem karykaturalną wprost troskliwość wiedeńskich elegantów specjalnie o tę część stroju i pragnął, by przy pomocy małego przyrządu, noszonego podczas pogody w kieszeni, mogli w każdej chwili swobodnie się poruszać po ulicy, gdy deszcz zacznie padać. Podobno znalazło się kilku odważnych, którzy tę nowość starali się wykorzystać. Cóż, kiedy już pierwszy podmuch wiatru przekreślił nadzieje „wynalazcy". Przytwierdzony do kapelusza parasolik, uniesiony wiatrem, pozbawił „pioniera" techniki nakrycia głowy, które zamiast błyszczeć, poniewierało się w błocie.

A oto drugi przykład. W Ameryce żył sobie farmer nazwiskiem O'Kelley. Jego posiadłość położona była w samem sercu obszarów, zamieszkałych przez plemiona dzikich Indjan, którzy stale napadali na farmę, niszcząc i rabując dobytek mr. Kelley'a. Ten miał wkońcu już tego dosyć i przystąpił do skonstruowania specjalnych armatek, aby przy ich pomocy odeprzeć najazd czerwonoskórych. Obmyślając nową broń, mr. Kelley dążył do nadania jej formy zewnętrznej, zupełnie odbiegającej od tej, jakiej dotychczas używano, a to dlatego, aby zmylić czujność Indjan i zwabić ich jak najbliżej. W ten sposób powstały osławione pługi-armaty. Farmer wychodził z założenia, że jego ludzie, pracując w polu, będą mogli każdej chwili przedzierżgnąć się w artylerzystów, gdy pługi, któremi się posługują, zaopatrzy się w lufy gotowe do strzału. Nadeszła wreszcie decydująca chwila, kiedy okazać się miała praktyczność „wynalazku" mr. Kelley'a. Uwiadomiony o zbliżaniu się Indjan, farmer stanął w polu przy pierwszym pługu-armatce, wyczekał, aż pierwsze szeregi wroga podjadą na odległość strzału, zapalił lont i rzucił się na ziemię, czekając na skutek działania nowej „broni". Cóż się okazało? Lufa, którą mr. Kelley sam wykuł z żelaza, została rozerwana w sztuki przy akompanjamencie straszliwej detonacji, a „wynalazca" tylko cudem uniknął śmierci, zasłonięty skarpą, za którą się przypadkowo ukrył. Indjanie w pierwszej chwili uciekli w popłochu, ale w chwilę potem wrócili i z zemsty zrównali całą posiadłość z ziemią. Tak skończyły się sny mr. Kelley'a o wynalazkach.

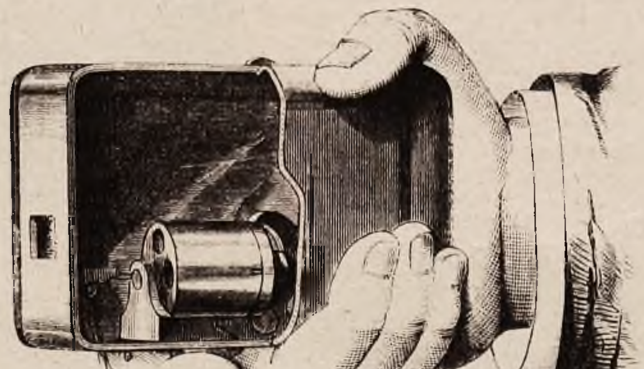


Na lewo: Jeden z farmerów amerykańskich nazwiskiem O'Kelley pragnął zastosować w walce z Indjanami armaty w postaci pługów dla lepszego zamaskowania broni. Tymczasem okazało się, że albo lufy tych armat były za słabe, albo pługi za ciężkie i wszystko spaliło na panewce.

Podobny pomysł, tylko w minjaturze i w innem zastosowaniu wylęgł się w głowie pewnego kupca z Lipska. Po licznych eksperymentach skonstruował on „strzelającą papierośnicę", która prócz tego, że miała spełniać rolę śmiercionośnego instrumentu, powinna była służyć do noszenia papierosów lub cygar. Tymczasem cel „wynalazcy" nie został osiągnięty, ponieważ rewolwer, ukryty w papierośnicy, niszczył niemiłosiernie papierosy podczas strzelania, a do tego wszystkiego broń, zupełnie nie precyzyjna, wysyłała kule wszędzie, tylko nie tam, gdzie chciał strzelający.



Powyżej: A oto oryginalny pulpit do czytania i pisania, wynaleziony przez mr. Hopkinsa, regulujący automatycznie odległość oczu siedzącego od przedmiotu pracy.



Pewien mieszczanin z Lipska opatentował strzelającą papierośnicę, wychodząc z założenia, że broń powinna być zamaskowana, bo tylko wówczas jest skuteczną wobec napastnika.

I w innych dziedzinach życia starano się wówczas pomóc ludzkości. Oto pewien Anglik, którego pasją było podróżowanie, większą część życia musiał spędzać po hotelach. Przytem był to wielki sybaryta, ceniący ponad wszystko tylko własną wygodę. Dlatego nieraz już przemyśliwał nad tem, jakby tu się urządzić, aby w momencie, gdy służący ma wnieść śniadanie, nie wstając z łóżka, przekręcić klucz w drzwiach i w ten sposób je otworzyć. Myśl ta nie dawała mu spokoju, aż wreszcie pewnego dnia wpadł na „genjalny" pomysł. Przytwierdził do klucza rodzaj uchwytu, a do niego dwa sznury tak długie, aby, przechodząc przez odpowiednio umieszczone na drzwiach kółka, dochodziły do łóżka i mogły być poruszane przez leżącego w niem gościa hotelowego. Pociągając za sznury, wprowadzało się w ruch obrotowy ów uchwyt, który przekręcał klucz w zamku. Jak głoszą kroniki z tego czasu, kilku właścicieli hoteli próbowało zastosować u siebie ten „wynalazek". Przy pierwszych zaraz próbach urządzenie przestało funkcjonować, bo sznury jako zbyt elastyczne nie mogły pokonać oporu, jaki stawiał klucz tkwiący w zamku. Tak i ten „wynalazek" okazał się tylko dziecinną zabawką.

J. L.

Poniżej: Tu znowu widzimy „wynalazek" z przed pół wieku, kiedy to nasi dziadkowie bardzo szanowali swoje rzeczy. Jest to parasol, specjalnie przeznaczony do ochrony kapelusza przed deszczem.



KĄCIK FILATELISTYCZNY



U góry: Polski znaczek dopłatny, drugi rząd: nowa serja sowiecka, trzeci rząd: znaczek francuski, dwa ostatnie rzędy: serja holenderska na cele dobroczynne.

Przez okres dwóch tygodni, poświęcony omówieniu całorocznego plonu tylu znaczków polskich — zebrało się tak dużo nowości w naszej tece, że można je tylko pobieżnie omówić. Nie zamieszczamy więc nawet nieco już starszych niemieckich znaczków, przedstawiających niedawno pozyskanych obywateli Trzeciej Rzeszy, udających się ze Sudetów do obozów pracy w Wielkich Niemczech.

Pomijamy holenderskie „vor het kind" (5 wartości z małym chłopczykiem), 2 węgierskie nadruki „hazateres", 2 angielskie znaczki za 4 i 5 d., uzupełniające dotychczasowe wartości, a zatrzymujemy się aż na Islandji.

Tam oto, w XX-lecie niepodległości, uczczono tę datę 3 znaczkami, przedstawiającymi najdalej chyba na północ położony uniwersytet w Rejkjavik. Serja obejmuje trzy znaczki za 25 öre (zielony), 30 ö. (brązowy) i 40 ö. (lila). Wykonane pierwszorzędnym stalorytem. Islandja jest, jak wiadomo, połączona unją personalną z Danją, podczas gdy przedtem była jedynie jej kolonją.

W Rosji sowieckiej monopol znaczkowy wyprodukował 2 nowe serje — które, na szczęście, będą należały do dostępniejszych, dlatego więc reprodukujemy je w całości.

Dokończenie na str. 20-ej.

Z ZAGADEK NATURY:

ZWIERZĘTA CZY ROŚLINY?



Powyżej: Na Florydzie poławiają gąbki greccy nurkowie.

Bogactwo form istot żywych jest zdumiewające. Zorjentowanie się w tym labiryncie wymagało olbrzymiej pracy uczonych, którzy niejednokrotnie stawali wobec zagadek, chcąc przydzielić jakiś żywy twór do określonej grupy. I nieraz nie byli wstanie uniknąć pomyłek, przy tak prostem — zdawałoby się zadaniu — jak zaliczenie okazu do świata zwierząt czy roślin.

Doskonaliły się z biegiem czasu metody badań: najpierw wchodził w grę jedynie skalpel i nożyczki, a następnie dopiero lupy i mikroskopy ułatwiały posuwającą się naprzód pracę w tej dziedzinie. One to umożliwiły bezbłędne klasyfikowanie istot żywych.

Zrozumiałe są trudności, jakie nastręczają badania jednokomórkowców,, istot, których całe ciało stanowi jedna komórka i to zwykle rozmiarów gołem okiem niedostrzegalnych, lecz fakt, że zwierzęta tak znacznych rozmiarów, jak gąbki, jeszcze do połowy XIX-tego w. były przez słynnego badacza van Hoevena zaliczane do roślin, zasługuje na bliższe wyjaśnienie.

Przyczyną tego jest niezmiernie prosta budowa tych zwierząt, nieokreślona, często krzaczasta postać, brak jakichkolwiek narządów i stałe zrośnięcie z podłożem. Dziś znamy tysiące gatunków tych ciekawych zwierzątek. Zamieszkują one przeważnie wody mórz i oceanów, zaledwie bowiem 1/20 część gatunków gąbek ma swych przedstawicieli w wodach słodkich.

Barwa gąbek jest zwykle ciemno-brunatna, żółtawa, szara a nierzadko posiada odcień zielony. Myliłby się jednak, ktoby sądził, że wszystkie są tak miłe i miękkie w dotknięciu, jak np. gąbka, używana do mycia, konsystencja bowiem tych zwierząt bywa najrozmaitsza. Znamy gatunki galaretowate, inne o szkielecie rogowym, wapiennym lub nawet krzemionkowym, zbudowanym z misternych kruchych igiełek. — Ciekawą właściwością tych zwierząt jest rozpowszechnienie ich w różnych głębokościach, gąbki występują bowiem nie tylko w wodach płytkich, lecz spotykamy je również w głębinach oceanów.

Dokończenie na str. 20-ej.

Na prawo: Gąbka rogowa kielichowatego kształtu jest bliską „krewniaczką" gąbki do mycia.



Poniżej: A oto oryginalne w swej postaci „wdowie róże".



Morskie anemony przypominają strzępiaste gwiazdy.



Poniżej: Wspaniałe kolory posiadają ukwiały, zwane goździkami morskimi.



DZIEJE RODZINY PIETRZYKÓW

ZOFJA KULINOWSKA

SZKIC

Cenne stare przedmioty, pokryte patyną lat, owiane niewidzialnem tchnieniem historji, budzą w nas mimowolny szacunek jako świadkowie zdarzeń i czasów dawno umarłych i bezpowrotnie minionych. Czyny najbardziej krwawe i mordercze widziane z perspektywy wieków zatracają zapach krwi, a czas przesłania ich jaskrawość szarym woalem zapomnienia, który łagodzi ich zbyt ostre kontury i wyraziste barwy. To, co było złem, staje się tragicznem, co było grzechem, głęboką namiętnością, sentymentalny romans uczuciem godnem pióra poety, a bójka awanturnika aktem rozpaczy groźnego, lecz w równej mierze szlachetnego jak tajemniczego rycerza bez skazy. Czyny niskie i małe giną w otchłani lat, wielkie i szlachetne nabierają blasku i błyszczą długo jak gwiazdy lub brylanty najpierwszej wody. Ten blask i sława spływa na martwe przedmioty, stojące na widocznych miejscach naszych domów. Kochamy je i jesteśmy z nich dumni. Są rzeczami, które przeżyły ludzi i zwyciężyły sam czas. — Oprócz przedmiotów istnieją ludzie podobni do figurek, stojących na lustrzanej tafli muzealnych gablotek. Ich profile przypominają stare kamee, ręce poprzecinane żyłkami, nogi pozbawione są mięśni, a ruchy i postać budzą słowa porównań, jakie znajdujemy jeszcze tylko na pożółkłych stronnicach książek zamykanych antyczną zczerniałą klamrą. Patrząc na szyje kobiet, myślimy o łabędziach, a usta nasze składają się do wypowiadania wyrazów: „lilja, kibić, alabaster" lub nawet szepcą słowa psalmisty Salomona, na określenie ich wdzięków. Są jak srebrne czary, wysmukłe, chłodne i częstc próżne. To ostatnie jest zresztą bez znaczenia. Czyż czary służą do codziennego użytku? Są rzadkie, godne podziwu i widok ich budzi w nas poczucie piękna. To wystarcza. Niestety samem pięknem nie może żyć człowiek. Piękno wyrasta często na podłożu, nie mającem z niem wiele wspólnego. Czarna ziemia sama w sobie nie pozbawiona uroku, bo któż z nas nie podziwiał lśniących skib odwracanych pługiem, pomieszana z kroplami deszczu, podobnemi do klejnotów, daje w rezultacie błoto, z którego wyrasta najpiękniejsze z dzieł Bożych: kwiat. Z brudu i potu rolnika powstawały zamki — orle gniazda na zrębach skał, z ran najokropniejszych największe bohaterstwa, a z ciał umęczonych w poniżeniu i w męczeństwie białe jak śnieg dusze nad-ludzi.

Pochylamy czoło przed pracą i natchnieniem, które tworzą rzeczy piękne. Wolimy jednak, jeżeli otacza je piękno lat i urok historji. Zbyt nowym przedmiotem, mimo ich formy często nawet skończenie pięknej, czegoś brak, co trudno nam określić. Może tej patyny wieków, której nie można stworzyć wysiłkiem nawet największym.

Takie właśnie cechy czegoś bardzo nowego, nieomal pachnącego farbą i pokostem, oczywiście tylko w przenośni, miało mieszkanie państwa Pietrzyków. Sam dom, a raczej willa w oprawie ogrodu, złożonego z rzadkich krzewów i zupełnie młodych drzew, wyróżniała się szlachetną prostotą linji. Architekt, projektujący wnętrze, należał do najzdolniejszych swego pokolenia. Dobór mebli, kolor ścian, pastelowe, jakby lekko wyblakłe w tonie dywany, dalekie od przesadnego modernizmu meble, łagodne światło ukrytych lamp, tworzyło całość, będącą ostatnim wyrazem współczesnego piękna. — Trudno byłoby w całym domu znaleźć szczegół, nie będący wprost nieodzownym, lecz równocześnie jakby z pozorną niedbałością postawionym na tem właśnie miejscu, gdzie był koniecznem zakończeniem całości. — To, czego nie mógł dać wrodzony smak i poczucie umiaru, dały pieniądze umiejętnie wydane. Jeżeli inni ludzie mieli więcej pojęcia o estetyce, dlaczego nie mieli być pomocni w urządzeniu domu temu, kto miał majątek. Pan Pietrzyk bowiem miał pieniądze. To tak mało i tak wiele zarazem. Słowo nowobogacki, tak modne w czasach powojennych, zatraciło dziś całkowicie wszystkie swe ujemne cechy. — Minęły bowiem czasy, gdy ludzie wzbogacali się w ciągu godziny, kupując przypadkowo ten a nie inny pakiet akcyj. Wypadki podnoszenia cen swych towarów o kilkadziesiąt procent w ciągu paru dni również należą dziś do legendy. Nowobogaccy! Czyż w tem słowie nie kryją się lata całe, pozbawionej wszelkiego wytchnienia pracy? Czyż przez to słowo nie spoglądają ku nam zmęczone oczy, które dnie całe pochylone nad warsztatem nie widziały słońca? Ręce nowobogackie chociażby ozdobione zbyt wielką perłą, noszą jeszcze odciski i ślady zasmolonego młota, topora lub świdra, a krwisty lakier manucuru i obręcze licznych branzoletek zasłaniają zniszczenie, wywołane mydłem, sodą i zmywaniem brudnych talerzy, oblepionych zastygłym tłuszczem. — To słowo, to często praca wielu lat ponad siły, która zadawalała się kawałkiem chleba lub nędzną strawą, nie zasługującą na miano potrawy.

Któż dziwi się człowiekowi, spragnionemu, że znajdując źródło, pije zeń ponad miarę? Kto szydzi z niego?

Niema zresztą życia ludzkiego, pozbawionego kolców. W skomponowanem, stonowanem, artystycznie urządzonem mieszkaniu państwa Pietrzyków, nie brakowało również cierni. Już pierwsze dnie, gdy wyprowadzono się z ulicy Rzeźniczej, zaprawione były goryczą. Zwłaszcza pani Pietrzykowa przeżyła niejedną ciężką chwilę, gdy przyszło pożegnać się ze starymi sprzętami, wśród których przeżyła niemały szmat życia. — Niewielka szafa sprawiona niegdyś z takim trudem, a należąca jeszcze do skromnej wyprawy panny Józi Srokówney, wychodzącej zamąż za równie biednego pana Franciszka Pietrzyka, musiała niestety pozostać. Niepodobna było przecież zabierać ją na nowe mieszkanie, gdzie nie pasowałaby nawet do pokoju służącej.

Ileż wspomnień łączyło się z tą starą szafą! Zamek do dziś dnia nie zamykał się dobrze, jeszcze od czasu gdy pan Franciszek, zniechęcony przez jakieś straty, chciał zapomnienia poszukać w kieliszku i w tym celu potajemnie przeszukiwał wnętrze żoninej szafy, aby z pod warstwy starannie ułożonej bielizny wyciągnąć parę miedziaków, chowanych na czarną godzinę. Nie dała mu ich wtedy. Wtedy, ani nigdy potem. Te pierwsze odłożone miedziaki były podwaliną ich przyszłego losu, nauką jedynaka Adama, ciepłą izbą na starość, a może nawet, jeśli Bóg pozwoli, własnym dachem nad głową.

Na strychu ul. Rzeźniczej trzeba było zostawić kołyskę z ułamanym biegunem. — W niej kołysał się pierworodny i w niej zasnęła na zawsze najukochańsza, najmilsza, paromiesięczna, nigdy nie odżałowana pociecha i nadzieja matki, Emilka. Już wyciągała rączki i uśmiechała się. Nikt nigdy nie posiadał droższego dzieciątka i dlatego pewnie Bóg zabrał ją do siebie. On jeden wie, ile łez wylała nad tą kołyską pani Pietrzykowa i z jak ciężkiem sercem zostawiała jedyną i ostatnią pamiątkę po zmarłej córeczce. — Musiała to jednak zrobić. Pan Franciszek nie znosił sentymentów, a życie nauczyło już panią Pietrzykową, że w małych sprawach nie należy się mężowi sprzeciwiać. A tymczasem każdy sprzęt pozostawiony na starem mieszkaniu przy rozstaniu wydzierał z piersi pani Józefy kawał serca. Dlatego pewnie zostało tam nazawsze i na nowy dom nigdy nie starczyło go wiele. Pan Pietrzyk czuł się nieco lepiej. Ta przeprowadzka, to było przecież spełnienie ich pragnień najśmielszych i nadzwyczaj pomyślny, wyjątkowy wprost uśmiech fortuny, która skromne oszczędności państwa Pietrzyków, zamieniła nieomal w bogactwo. Nigdy nie oczekiwali aż tyle. Słowa pieśni kościelnej, śpiewanej w Bractwie Dobrej Śmierci, do której doniedawna pan Pietrzyk należał, a obiecujące wszelką szczęśliwość po zgonie lub jeszcze tu na ziemi dla sprawiedliwych, już tu miały się ziścić i dać świadectwo prawdzie.

Narazie prawdą było, że upragniony dom nie okazał się przy bliższem poznaniu tak wygodny, jak dawne mieszkanko. Do wszystkiego można się z czasem przyzwyczaić. I cóż z tego, że posadzka jest nieco za śliska na stare nogi, przyzwyczajone do heblowanych, co sobotę własnoręcznie przez panią Józefę szorowanych podłóg, że obecność służby, stojącej przy obiedzie za krzesłem na każde skinienie, conajmniej krępująca. Pan Pietrzyk do końca życia nie zapomni spojrzenia Jana służącego, gdy niezbyt właściwie posłużył się nożem, zapominając, że do tej czynności dotychczasowi chlebodawcy Jana zwykli używać widelca. Wogóle wygoda z tą liczną służbą była bardzo wątpliwa. Człowiek nie był poprostu w stanie sięgnąć po kawałek chleba lub szklankę herbaty, aby natychmiast nie wyjęto mu tych przedmiotów z ręki, i nie podano na tacy lub talerzu. I to pożal się Boże, jakim talerzu? To nie były dawne, fajansowe, pomalowane w piękne maki talerze z ul. Rzeźniczej. Porcelana, jakiej używano teraz, była tak cienka i krucha, że lęk ogarniał, gdy brało się ją do ręki. Lęk tem bardziej uzasadniony, że każdy talerz kosztował majątek, a pan Pietrzyk nigdy nie pozbędzie się panicznej obawy na myśl o niepotrzebnej stracie. — Jak na złość Adam uparł się, ażeby ich życie i dom wyglądały tak wytwornie. Twierdził, że to mu jest potrzebne do osiągnięcia szczęścia i karjery. Karjery! Głupi chłopiec. Nie potrzebował jej robić, mając tak bogatego ojca. A szczęście? Cóż, jeśli chodzi o szczęście dziecka, rodzicom nie pozostaje nic innego, jak uczynić wszystko, co w ich mocy, aby mu w tym wypadku dopomóc. — Gdyż tak wła-

śnie, a nie inaczej miało wyglądać szczęście Adama, a raczej droga do niego. Samo szczęście było ciemnowłosą, dumną panną, córką dygnitarza, mającego wielkie wpływy i stosunki oraz baronówną, spokrewnionej z dodami, w których należało koniecznie bywać. To było właśnie potrzebne do karjery Adama. Był młody, zdolny, bogaty. Brakowało tylko tak niewiele. Panna Halina miała odegrać rolę tych szczebli, które musiał przebyć młody Pietrzyk. Serce Adama, niezależnie od interesu, zajęte było samą osobą panny. Myśl, że mógłby mieć na wyłączną swoją własność tę wysmukłą, dystyngowaną osobę, że będzie mógł nazwać ją swoją żoną, doprowadzała go do szaleństwa nieomal i zdwajał wysiłki, mające na celu przyszły dom młodej pani Pietrzykowej przeobrazić w gniazdko pełne niefałszowanej kultury, godnej jej wnuczki ekscelencji. Efekt tych dążeń był taki, że starszy pan Pietrzyk, tłumiąc przekleństwo, musiał nieudolnymi palcami nabierać ciągle wypadający z widelca kawałek ryby, która w dodatku nie była niczem nadzwyczajnem, a pani Pietrzykowa, purpurowa pod spojrzeniami służby, przeżywała męki, wahając się, jak właściwie powinna jeść szparagi. Obiad, od którego wstawali głodni, kończył się nareszcie i można było pod pozorem wypoczynku zamknąć się w gabinecie. Uf... nareszcie! Za drabem lokajem, jak nazywał w myśli Jana pan Pietrzyk, zamykały się drzwi i wtedy można było bodaj przez godzinkę czuć się u siebie w domu. Siadał wtedy na kanapie w głębi pokoju, zdejmował marynarkę, buty, rozpinał kamizelkę, ruchem spiskowca wyciągał z szuflady najtańsze cygara i zaciągał się dymem, który potem wypędzać musiał, machając batikowaną serwetą. Adam gniewał się, gdy poczuł ordynarny zapach tytoniu. Pozatem Adam był zdaje się jedynym człowiekiem, który dobrze czuł się w nowym domu. Syn! Nadzieja i duma rodziny Pietrzyków. Jedyny spadkobierca ich nazwiska i majątku. Majątek przedstawiał się wcale nieźle. Z nazwiskiem było zato nieco gorzej. Zdaje się, że nie ułatwiało ono zbytnio życia młodemu Pietrzykowi i jeśli nie mówił o tem, to jedynie dlatego, że był w gruncie rzeczy przywiązany do rodziców i nie chciał nigdy robić im przykrości. Adam był zawsze dobrym synem i dlatego należało teraz robić wszystko, co pragnął i dopomóc mu w tem, do czego dążył. Czegóż nie robi się dla dzieci? Pani Józefa była zupełnie tego samego zdania, co mąż. Leżąc w niewygodnem szezlągu, myślała z przerażeniem, co się dzieje teraz w kuchni. Darmozjad pokojówka, mimo swej elegancji, napewno okaże się takim garkotłukiem, jak Marcelka z ulicy Rzeźniczej. Z przyzwyczajenia myślała, co kucharka zrobi z resztą pieczeni, która została na półmisku i myśl ta nie dawała jej spokoju. Dademnie Adam uspokajał matkę, że ich budżet ułożony i kontrolowany osobiście przez niego, nie pozwala na marnowanie ich pieniędzy. Adam nie był nigdy rozrzutny. O to nie miała najmniejszej obawy. Był przecież ich synem. Mimo to jednak nigdy nie zaznał prawdziwej biedy, ani nie wiedział, co znaczy głód i dlatego jego pojęcia o koniecznych wydatkach były bardzo rozbieżne z poglądami matki! Przewracając się z boku na bok, rozmyślała pani Pietrzykowa, że to dziś właśnie u Nowaków naprzeciwko (sąsiadów z Rzeźniczej) odbywa się wesele Mani. Jaka szkoda! To była dziewczyna, upatrzona niegdyś na synową. Cóżby to była za żona dla Adama! Oczywiście nie teraz. Obecnie nie ma o tem mowy. Adam musi zrobić karjerę, a Mania została tylko zwykłą szwaczką. Wprawdzie nie zupełnie zwykłą, bo Mania, to artystka w swoim fachu. A jaka przy tem miła, gospodarna i kochająca Adama od dziecka. Cała pociecha w tem, że chłopiec, którego wreszcie po długich perswazjach rodziców wybrała, okaże się jej napewno godnym. Chyba oceni taki skarb, jak Mania. Pani Pietrzykowa z rozrzewnieniem uśmiecha się na myśl o jej szczerych oczach. Przychodzi jej na myśl druga dziewczyna, panna Halina, która podobno również kocha jej syna. Tak przynajmniej twierdzi Adam. Co prawda pani Józefa ma co do tego pewne wątpliwości. Broń Boże, nie dlatego, żeby Adam nie był godny tej panny. Jednakże... Pietrzyk i... ona z takiego domu!... Co tu dużo gadać, ludzie ludziom nie równi przynajmniej w ich pojęciu. Co będzie, jeśli kiedyś da mu to odczuć? Adam jest taki ambitny. Marzyła niegdyś, że przyszła synowa zastąpi zmarłą córkę. Dziś zrozumiała już, że będzie to niemożliwe. Bo cóż może łączyć w przyszłości obie panie Pietrzykowe? Nic, chyba tylko wnuki. Na myśl o tem, pani Józefie robi się na sercu nieco lżej i zasypia z głową wtuloną w cudownie haftowaną poduszkę. Przez jej głowę przelatują jeszcze senne myśli o tem, co też dziś Nowakowa poda na ucztę ślubną. Pewnie będzie zając.. a może raczej indyk... Zaraz, co to ona dodaje zawsze do nadzienia?!

Najgorsze były popołudnia. Cóż za męka dla człowieka przyzwyczajonego do pracy jest bezczynność! Daremnie łamie sobie głowę pani Pietrzykowa, co robią z czasem ludzie bogaci. Pytała o to nawet Adama. — Czytać nie może. Bogiem a prawdą nigdy nie czytała wiele. Męczy ją to i pobudza do senności. Nigdy nie mogła zrozumieć, poco śledzić dzieje obcych ludzi, ich kłopoty i zmagania, skoro każdy z nas posiada dosyć własnych zmartwień. Szyć nie potrzebowała, robiła to za nią pokojowa. O gotowaniu, sprzątaniu nie było mowy! A czyż umiała robić coś innego? Nie nauczono jej nigdy nic innego, prócz pracy. To samo było z Franciszkiem. Aż żal było patrzeć na jego znudzoną minę. Adam kupił ojcu niedawno psa, nie mógł jednak uczynić gorszego wyboru, jeśli chodziło o prezent. P. Pietrzyk uznawał jedynie zwierzęta, spełniające swe obowiązki jako stróże domu. Pies syty, wykąpany, spędzający całe dnie bezczynnie na dywanie, pobudzał go do pasji. Adam podarował psa przyjacielowi. Ogród był miłą rozrywką, jenakże p. Józefa nie lubiła zbytnio przystrzyżonych trawników, ani żywopłotów. Dywanowe kobierce kwiatów nie przypominały w niczem wytęsknionej wsi, którą zawsze widziała oczyma dziecka, gdy przed laty małą Józię zawieziono na wieś do babki. Dotąd pamięta ogród pełen malw i astrów, staw, na którym pływały kaczki i gdzie ku uciesze dzieci pławiono konie. Ich ogród nie przypominał wsi. Te pocięte, w szeregach niby żołnierze stojące rośliny, ścieżki wyżwirowane, wydające za każdym krokiem nieprzyjemny chrzęst, trudno było nazwać ogrodem. Zeszły tydzień wypełniony oczekiwaniem na wizytę rodziców panny Hali, upłynął nieco szybciej. Wprawdzie państwo nie robili wrażenia zachwyconych, mimo, że mieszkanie ich widziane już raz przez p. Pietrzykową, nie umywało się do ich domu. Pani, oglądając ogród, żałowała, że niema w nich starych drzew tak, jakby stare drzewa należały do przedmiotów, które można nabyć. Pozatem chyba nie brakowało tu niczego.

Pani Józefa patrzyła dziś z obawą na męża. Wyraz jego twarzy ze znudzonego stał się chytry. Przed lustrem poprawiał krawat, przygładził włosy i oczekującej tego żonie zapowiedział, że wychodzi. Chciała coś powiedzieć, ale dała spokój. Ostatecznie niech idzie. Jeśli nawet spotka się z dawnymi znajomymi „pod czarnym kogutkiem“ na szklance piwa. Adam nie dowie się o tem. Ona przecież, jego żona, rozumiała go dobrze. Z westchnieniem obserwowała przez okno, jak wychodził i skierował się szybko w stronę miasta. Jan zamknął za nim bramę i wrócił do kuchni, ażeby rozmawiać z pokojówką Nelą. Co za imię! Już to samo mogło panią Józefę usposobić niechętnie do dziewczyny. Adam wyszedł zaraz po obiedzie i nie wróci, aż późnym wieczorem. Franciszek? Jego najmniej można było posądzać o rychły powrót. Została więc sama na całą długą resztę dnia. Otworzyła szafę i pogładziła ręką stosy cienkiej bielizny, przewiązanej atłasową wstążką. Zawsze pragnęła mieć takie wstążki. Później przeszła do jadalni. Oglądnęła srebro w nadziei, że znajdzie najmniejszą bodaj plamkę. Będzie można przynajmniej zadzwonić na służbę i dać jej jakieś zajęcie. Niestety, srebro lśniło tak jak tego można było oczekiwać po Janie. Co zrobić z resztą dnia? Otworzyła raz jeszcze szafę, w której wisiały suknie. Chwila wahania i pani Józefa ruchem podobnym do skradającego się kroku męża zbliża się do drzwi i nadsłuchuje. W domu panuje cisza. Z gabinetu dochodzi tykotanie zegara, a telefon stojący na biurku, milczy. Napewno nie zadzwoni. Nie istniał człowiek, który o tej porze miałby ochotę porozmawiać z panią Pietrzykową. Może jednak istniał? Napewno byli tacy. Ci jednak nie posiadają telefonu, ani nie odważą się, nieproszeni, odwiedzić ją w nowem mieszkaniu. Pani Józefa wybiera najskromniejszą suknię, ciemny płaszcz, kapelusz i najbardziej obojętnym tonem oznajmia Neli, że wybiera się na przechadzkę i prosi, aby nie czekano na nią z podwieczorkiem. To ostatnie zastrzeżenie jest co prawda zbyteczne. Zarówno Neli, jak i pani, wiedzą dobrze, że podwieczorek pani Pietrzykowa spożyłaby zupełnie sama. Na ulicy oddycha z ulgą. Szybkim krokiem, o jakiby ją nikt nie posądził, zmierza w stronę najbliższej stacji tramwajowej. Za chwilę przepełniony wóz wiezie szczęśliwą i zgniecioną w tłoku panią Józefę w stronę ulicy Rzeźniczej. Przed ich dawnym domem stoją dorożki. Woźnica ma do bata przywiązany pęk mirtu. Tak. Przecież dziś jest wesele Mani. Zrobi im prawdziwą niespodziankę. Mała sionka zapchana jest dziećmi, a z wnętrza dochodzą dźwięki muzyki. W małem mieszkanku jest tyle osób, hałasu i dymu, że w pierwszej chwili nie zauważono wejścia nowego gościa. Mania, w białym welonie z zapłakanemi oczyma, siedzi przy młodym, czerwonym z gorąca i emocji chłopcu. „Jej mąż wygląda wcale nieźle, ostatecznie mógłby być gorszy“ stwierdza pani Józefa. Piskliwy głos pani Nowakowej, która zauważyła ją dopiero teraz, nie pozwala na dalsze oględziny. Wśród tuszu, muzyki i wrzasku pijących zaciągają ją do środka, robiąc miejsce przy stole, zastawionym gęsto flaszkami i jadłem. Zaledwie zdołała docisnąć się do Mani i wręczyć bransoletkę, ściągniętą ukradkiem z własnej ręki. Pani Nowakowa, wzruszona jej hojnością, a może i widokiem dawnej przyjaciółki, nakłada na jej talerz kopiastą resztę dań. Z przyjemnością stwierdza pani Pietrzykowa, że nie omyliła się w swych przypuszczeniach. Rzeczywiście, na półmisku dymi wspaniały indyk z nadziewką, która jest specjalnością pani domu. Przez opary potraw i własnych łez widzi jeszcze pani Józefowa siedzącego naprzeciw z potężną kością w ręku podchmielonego pana Pietrzyka.



stracja muzyczna T. Szeligowskiego. Aktorsko przedstawienie stoi na b. wysokim poziomie, szczególnie trudne sceny groteskowe znalazły kapitalnych odtwórców w osobach: Haliny Buyno (Iskierka), L. Tatarskiego (Don Meno, parodja Don Kichota), W. Lasonia (Żołnierz). Niezwykle stylowy jest S. Jaśkiewicz (Don Lope), a i inni: Sierska, Nawrocka, Wołłejko, Ilcewicz, Karpiński, Balicki, Bajerski, Czapliński, Blichewicz, Nowosad, tworzą zespół zgrany, uwypuklający wyraziście indywidualne talenty.

(s. w. bal.)

Na lewo: Dekoracja J. i K. Golusów do „Sędziego z Zalamei" Calderona de la Barca, granego w inscenizacji dyr. L. Pobóg-Kielanowskiego na scenie Teatru Miejskiego w Wilnie.

TEATR BAROKOWY W WILNIE:

CALDERON

Dominującą cechą współczesnego teatru, nie tylko polskiego, jest wygodny wielostylowy eklektyzm. Zaledwie jednostki zdobywają się na heroiczne w ich warunkach pracy gesty — kształtowania nowoczesnego stylu współczesności lub utrwalania stylów dawnych, skończonych, utrwalania w formach artystycznych, dzisiejszości zrozumiałych i bliskich.

W rzędzie najciekawszych, najwybitniejszych indywidualności twórczych współczesnego teatru polskiego staje dr L. Pobóg Kielanowski, dyrektor Teatru Miejskiego w Wilnie. Jego pionierski trud artystyczny, repertuarowy, inscenizacyjny, reżyserski i, oczywiście, wychowawczy, tem łatwiej nam objektywnie ocenić, że stąd, z Krakowa, mamy większą perspektywę spojrzenia na jego działalność, a drogi do Wilna prowadzą przez kilka miast, przez Lwów lub Warszawę, więc o materjał porównawczy łatwo.

Bez obawy przeto o omyłkę stwierdzić należy, że wileńskie „Wyzwolenie" Wyspiańskiego, a obecnie „Sędzia z Zalamei" Pedro Calderona de la Barca (przekład J. Porębowicza), to najśmielsze i najświetniejsze osiągnięcia bieżącego sezonu teatru polskiego. Nie tu miejsce na szczegółowe udowadnianie tego z rozwagą uczynionego sądu. Kilka fotografij i parę zdań — mają jedynie na celu zanotowanie doniosłego teatralnie wydarzenia realizacji nieznanego Calderona.

Bo nazwisko Calderona utrwaliło się na polskiej scenie jedynie dzięki „Księciu Niezłomnemu" Słowackiego. Ale dawnego teatru hiszpańskiego wogóle nie znamy. Utworów Lope de Vegi nie grywa się zupełnie, a „Życie snem" Calderona w latach ubiegłych we Lwowie i w Warszawie teatralnie nie przekonało i nie zbliżyło widzów do arcyciekawej epoki hiszpańskiego baroku. Czyni to teraz Kielanowski w Wilnie, realizacją „Sędziego z Zalamei", szukając najwłaściwszych wyrazów scenicznych dla syntezy stylów XVII-wiecznego teatru hiszpanskiego, ustalając podstawowe tradycje, które znajdują oczekiwany rezonans. W jednych elementach smakują znawcy, inne bawią szeroki ogół, a całość widowiska imponuje koncepcją i doskonałą realizacja harmonijnie związanych wielogatunkowych motywów, tonów i akcentów, od scen serjo naiwnego melodramatu poprzez szeroką skalę groteski aż do stylizowanej błazenady komedji dell'arte i parodji opery.

Z inwencją reżysera doskonale współgrają oprawa plastyczna i kostjumy J. i K. Golusów, styl i urok widowiska podkreśla ilu-



1

1: „Pod oknem Izabelli". Izabella — M. Sierska, Don Meno — L. Tatarski, Nuno — W. Ilcewicz.



2

2: „Pojedynek". Od lewej: Iskierka — H. Buyno, Rebolledo — Z. Karpiński, Don Alvaro de Ataide — J. Balicki, Sierżant — S. Kępka-Bajerski.



3

3: „Serenada". Od lewej: Don Alvaro de Ataide — J. Balicki, Rebolledo — Z. Karpiński, Żołnierz — W. Lasoń, Iskierka H. Buyno, Pedro Crespo — L. Wołłejko, Izabella — M. Sierska, Ines — W. Nawrocka.



4

4: „Odzyskanie córki" Od lewej: Pisarz — A. Czapliński, Crespo — L. Wołłejko, Izabella — M. Sierska.

Wśród zabytków Krakowa.



Na lewo: Figura Matki Boskiej u wylotu ul. Kapucyńskiej.

Kraków archeologiczny i historyczny budził zawsze zainteresowanie społeczeństwa, pomimo to jest dla wielu, dziś jeszcze, tajemnicą.

Iluż ludzi przyglądało się obojętnie posągowi Najśw. Marji Panny, stojącemu u wylotu ulicy Kapucyńskiej! Przeciętny przechodzień nie domyśla się zapewne, że dzieje tej pamiątki, związane z ciekawem przeżyciem jej fundatora, zasługują na uwagę ze względu na jego niezwykłość.

Data wystawienia posągu w 1768 r. nie jest ujawniona. Sama statua nie posiada żadnego napisu. Nikt nie wie dziś, że posąg został zakupiony przez OO. Kapucynów na licytacji i że stał dawniej przed kościołem Marjackim, na okalającym go cmentarzu, który dziś już nie istnieje. Nie te szczegóły zasługują jednak na wzmiankę, ale sama geneza wystawienia posągu.

Podanie, poparte wiarygodnemi świadectwami, głosi, że około północy w dniu 29 listopada 1769 r., w czasie Konfederacji Barskiej, ksiądz Józef Zaremba, mieszkający nad bramką przy kościele św. Barbary, usłyszał pukanie do drzwi żelaznych, zamykających schody, a podszedłszy do okna, ujrzał towarzysza huzarów konfederackich. Ponieważ przypuszczał, że to jakiś wysłannik konfederatów pragnie widzieć się z nim w ważnej sprawie, wprowadził go do mieszkania, nie szczędząc mu gorzkich wyrzutów, że w czasie, gdy miasto zajęte jest przez Moskali, przybywa do niego nieprzebrany. Na zapytanie czego pragnie, skąd przychodzi i kto go przysyła, „przybysz dał odpowiedź zagadkową: „Przybywam z grobu, a przyjście moje zawdzięczam Najśw. Marji Pannie". — Zdaje się, że te słowa wypowiedziane były ostatkiem sił, gdyż runął potem na podłogę zemdlony.

Ks. Zaremba zawezwał pomocy ze szpitala Sióstr Miłosierdzia, który mieścił się wówczas w narożnej kamienicy Szembekowskiej, naprzeciw kościoła św. Jana i dzięki staraniom jednej z sióstr, obeznanej z ranami i chorobami, zemdlony, a raczej ranny przyszedł do siebie. Okazało się, że był to rotmistrz konfederatów Marjan Sokołowski, z oddziału regimentarza Trzebińskiego, który wraz z dwoma towarzyszami padł ofiarą rąbaniny z Moskalami przy Nowej Bramie, stojącej dawniej u wylotu ulicy Siennej, w czasie nieudałego napadu konfederatów na Kraków dnia 26 listopada 1769 r. Rotmistrz, jak zgodnie podają źródła, miał wielkie nabożeństwo do Matki Boskiej, modlił się często przed Jej obrazem w kościele Marjackim i uczynił ślub, że do końca życia będzie na Anioł Pański leżał krzyżem.

Po odparciu napadu Trzebińskiego na Kraków, którego ofiarą padli Sokołowski i jego dwaj towarzysze, trzech nieżywych konfederatów za staraniem prezydenta miasta Kozłowskiego i za zezwoleniem pułkownika rosyjskiego Lobry, pochowano na cmentarzu kościoła Panny Marji, w grobie przed Ogrojcem, gdzie ciała zmarłych w zimie tymczasowo bywały składane.

W pewnej chwili, jak sam opowiadał, Sokołowski zbudził się ze snu w zupełnej ciemności. Wyciągnął rękę i namacał ciało trupa, obok leżącego, skostniałe i zimne. Zerwał się i macając, natrafił na ścianę. Zrozumiawszy, że został żywcem pochowany, zaczął zanosić modły do Matki Boskiej, błagając ją o ratunek. Nagle nad głową jego zabłysła gwiazda przez jakąś szparę w sklepieniu grobu. Podszedł pod szparę i natrafił na drabinę. Po jej szczeblach wydostał się do otworu grobu, usunął deski, zamykające go i ujrzał... stojącą nad grobem statuę Najświętszej Marji Panny. Posąg ten, jak przypominał sobie dokładnie, znajdował się na cmentarzu Marjackim. Teraz dopiero zorjentował się Sokołowski, gdzie przebywa, padł krzyżem przed statuą i złożył dzięki Bogu za cudowne ocalenie, a Matce Boskiej za Jej wstawiennictwo. Widok kościoła Marjackiego dodał mu otuchy. Obszedł mur cmentarny i ujrzał światło poza bramą żelazną obok kościoła św. Barbary. Zapukał i otworzono mu.

Sokołowski wyzdrowiał, otoczony pieczołowitą opieką i przebrany za chłopa, uszedł z Krakowa do konfederatów. Niestety wkrótce potem dostał się powtórnie do niewoli moskiewskiej i osadzony był na zamku krakowskim. Tutaj, wespół z 81 więźniami, zorganizował ucieczkę, która nie udała się i której próbę, jako przywódca, przypłacił życiem. Tym razem zwłoki jego spoczęły u stóp baszty Sandomierskiej, gdyż komendant Aleksiewicz nie zgodził się na pochowanie ich w ziemi poświęconej.

W siedem dni potem archipresbyter kościoła Marjackiego, ks. Kiełczewski, otrzymał od matki Sokołowskiego, Zofji, mieszkającej w Imbramowicach, list z dołączeniem 50 dukatów, w którym donosiła mu, że we śnie widziała swego syna i że ten prosił ją o wystawienie nad grobem na cmentarzu kościoła Marjackiego, w którym składają w zimie ciała umarłych, figury Matki Boskiej na podobieństwo tej, która znajduje się na obrazie przy drzwiach kościoła od ulicy Florjańskiej. Prośbie tej uczyniono zadość. Statua, wykuta przez mistrza kamieniarskiego Jana Krzyżanowskiego, stanęła na cmentarzu Marjackim i została poświęcona w święto Wniebowzięcia N. P. w 1771 r.

Nie zaopatrzono jej w żaden napis i nie podano nazwiska fundatora. Co więcej, nawet w księgach parafjalnych nie umieszczono o figurze tej żadnej wzmianki. Pospólstwo myślało, że ktoś pobożny wystawił posąg dla uproszenia opieki Matki Boskiej nad miastem. To, co miało być tajemnicą do końca wojny, pozostało jednak tajemnicą i nadal, gdyż i później zaniedbano umieszczenia stosownego napisu.

Posąg stał przed kościołem Marjackim do 1797 r. W czasie zarządu gubernatora Margelika zostały wszystkie krakowskie kościoły i klasztory ze złota i srebra złupione. Wiele kościołów pokasowano, mury ich zburzono i rozebrano, a materjał sprzedano w drodze licytacji. W tym to czasie z murów klasztoru Norbertanek przy ulicy Wiślnej zbudowano oberżę. Nic też dziwnego, że mury kościoła Marjackiego zostały również zburzone, a brama, pokryta miedzią, na której stała statua Matki Boskiej zniszczona. Posąg wraz z materjałem budowlanym sprzedano na licytacji, według jednych za 2 reńskie i 10 grajcarów, według drugich za 6 złotych. Licytator, nazwiskiem Benedykt Kubecki ofiarował go OO. Kapucynom. Za pieniądze, otrzymane później od kanonika Pruskiego i kupca krakowskiego Lewińskiego, zrobiono fundamenta, postawiono na nich posąg i poświęcono go, jak mówi kronika „na chwałę Boga i cześć Najśw. P. Marji, z prośbą, aby Matka Boska ochraniała miasto i klasztor".

Statua stoi w miejscu, gdzie ongiś znajdował się klasztor OO. Reformatów, zburzony podczas pierwszego najazdu Szwedów za Jana Kazimierza. Na drugim końcu ulicy, przed kościołem OO. Kapucynów, widnieje krzyż drewniany, zbudowany na jedynej, zachowanej w Krakowie, mogile Konfederatów barskich, którzy polegli tu 13 sierpnia 1768 r. I ta pamiątka znana jest tylko nielicznym mieszkańcom Krakowa. **W. St.**

Dokończenie ze str. 5-ej

stwierdzić można, wyraźny odwrót od skrajnych kierunków, które zgangrenowały powojenną sztukę. Te konające kierunki podtrzymują jeszcze „kunsthändlarze", którzy dorobili się wspaniałych majątków, a dziś rzadko kto chce kupić „dzieło", które mu zaofiarowują. Prawdziwa sztuka jest wieczna i ciągle budzi podziw. Najlepszym tego dowodem była wystawa włoskiego renesansu, urządzona 2 lata temu w Paryżu w Petit Palais. Nie kończące się „ogonki" zwiedzających przed wystawą, żywo dowodziły o zainteresowaniu sztuką najszerszych warstw społeczeństwa. Na wystawę nie można się było dostać — ale ten szczęśliwiec, który przekroczył progi „Petit Palais" miał wrażenie, że jest w raju. Rząd włoski zgromadził tam najcenniejsze skarby. Żadne Towarzystwo nie chciało się podjąć ich ubezpieczenia. „Petit Palais" było obstawione wojskiem, które czuwało dniem i nocą.

Kończę pogawędkę z przemiłą rodziną państwa Czedekowskich, obejrzawszy dzieła, przygotowane na zbiorową wystawę w „Zachęcie", której otwarcie nastąpi w końcu stycznia. Wystawę publiczność przyjmie zapewne gorąco, a krytyka? — zobaczymy.

O Czedekowskim wyraził się prof. Tadeusz Pruszkowski w „Gazecie Polskiej" następująco: „B. Czedekowski jest malarzem o typie zdecydowanie tak zwanym „oficjalnym", co nie jest zaletą ani wadą, ale właściwością, nie chcę więc Czedekowskiemu czynić zarzutu z takiego ustosunkowania się do sztuki. Czedekowski nadmierną słodycz i elegancję nagradza dużą maestrją i rzadko spotykanym w oficjalnem malarstwie — gustem. Z wystawionych przez Czedekowskiego obrazów najlepszym jest, mojem zdaniem, portret A. Potockiego, malowany z werwą i umiarem; w przyjemnym kolorze. W portrecie tym przejawia się wpływ angielskiego portretowego malarstwa z XIX wieku, wpływ, mojem zdaniem, dodatni...".

Mgr. Krystyna Kaczyńska.

TAJEMNICE WSCHODU... Słynny tancerz hinduski Ram Gopal w tańcu kobry. — *Fot. Harrell, Hollywood*



NA PRZYJĘCIU U P. PREZYDENTA R. P.



Podczas rautu na Zamku Pan Prezydent R. P. wita się z bułgarskim attaché wojskowym, Dmitrjewem i jego małżonką. — Na lewo widoczna Pani Prezydentowa Marja Mościcka.

Już na dłuższy czas przed przyjęciem u Pana Prezydenta cała Warszawa była zelektryzowana wieścią, że na Zamku Królewskim odbędzie się w tym roku nietylko doroczny obiad dla korpusu dyplomatycznego, ale również raut dla najwybitniejszych przedstawicieli społeczeństwa. Pan Prezydent R. P. z Małżonką już od kilku lat nie wydawali rautów. Tym razem więc podziękowanie korpusowi dyplomatycznemu za noworoczne życzenia przybierze kształt nietylko obiadu, lecz również wielkiego rautu w charakterze imprezy dyplomatycznej. Według tego też „klucza" orjentacyjnego rozsyłano zaproszenia.

Otrzymanie takiego zaproszenia było marzeniem wielu osób. Nie mogło jednak tych zaproszeń być ponad miarę, by jednak wszyscy wiedzieli, jak przyjmuje gości Najwyższy Włodarz Rzeczypospolitej, postaramy się podkreślić najciekawsze momenty przyjęcia.

Raut na Zamku spowodował liczne przygotowania. Wrzało i kipiało jednak nie tylko u mistrzów krawieckich, kuśnierskich, fryzjerskich i szewskich, skrzętna, iście benedyktyńska praca toczyła się również w Kancelarji Cywilnej p. Prezydenta R. P. oraz w Protokóle Dyplomatycznym MSZ. Chodziło przecież o wypracowanie planu, według którego posadzi się gości przy stole. Mieli tam być szefowie misyj dyplomatycznych i krajowi ministrowie z małżonkami. To bardzo skomplikowane i ważne zadanie wobec istnienia t. zw. „préséances". Słowo to nie ma odpowiednika w języku polskim, a dosłowne tłumaczenie brzmiałoby: „przedsiedzenie". Rzeczywiście chodzi o to, kto przed kim ma siedzieć, czyli kto wyżej, a najwłaściwiej, kto... bliżej p. Prezydenta i Pani Prezydentowej. Bo nie siedzi się przy stole przed kimś lub wyżej kogoś, lecz obok kogoś, im bliższe zaś miejsce Pana lub Pani Domu, tem jest zaszczytniejsze.

Jak odróżniać owe rangi? Otóż ambasador jest wyższy rangą, od ministra resortu, ale już np. poseł ustępuje ministrowi. A znów między ambasadorami i posłami ten jest wyższy rangą, kto dłużej przebywa w kraju. Małżonki „idą za mężami", to zn. mają te same „rangi". natomiast błędem byłoby posadzenie na takim obiedzie żony obok męża. Ostatecznie możnaby sobie z tem wszystkiem dać radę. gdyby zabrać się do roboty o parę dni wcześniej. Niestety, jest to niemożliwe, bo może się przecież zdarzyć, że ktoś z zaproszonych zachoruje, a jest to w obecnych „grypowych czasach" aż nadto możliwe i wtedy cały wypracowany plan pada w gruzy...

To też wielki kłopot mają panowie „robiący stół". Trwają w niepewności do ostatniego dnia. A cóż dopiero, gdy ktoś „wysoko stojący", a więc i... „wysoko siedzący" zachoruje np. w ostatniej chwili... Taki wypadek zdarzył się i tym razem. Ktoś, mający prawo siedzieć „wysoko" zasłabł nagle o g. 6 pop., a obiad był wyznaczony na g. 8 m. 30... Cały „stół" w jednej chwili „wywrócił się". Trzeba go było „robić na nowo" na poczekaniu. A broń Boże pomylić się choć o „bagatelkę przy rozsadzaniu około... półtorasta osób... Poszkodowany obrazi się niechybnie, nie wchodząc w to, jakie okoliczności to spowodowały.

Przystąpmy wszakże do samego opisu przyjęcia. Oto szefowie misyj dyplomatycznych i członkowie rządu zbierają się na Zamku w sali Audjencjonalnej, tej, w której p. Prezydentowi zazwyczaj wręczają listy uwierzytelniające nowoakredytowani dyplomaci. Mundury, złotem szyte, fraki, toalety wieczorowe, ordery. Zjawia się p. Prezydent z Małżonką. Powitanie, „Cercle" i... defilada do sali Asamblowej, gdzie stoją pięknie nakryte stoły ustawione rzekomo „w podkowę". Ale to tylko termin techniczny: faktycznie nie jest to podkowa, lecz trzy stoły, ustawione do siebie pod prostym kątem, jeden poziomo, a dwa pionowo.

Stół główny, przy którym zasiądzie Pan Prezydent stoi wzdłuż okien, wychodzących na Wisłę i odsłaniających widok niezwykle malowniczy. Jednak p. Prezydent R. P. nie będzie patrzał w nie, lecz na siedzącą naprzeciw Małżonkę. Zasada głosi bowiem, że Pan Domu zajmuje miejsce najbardziej środkowe, Pani Domu zaś siada „facing" go, czyli poprostu naprzeciw... Reszta osób siada w ten sposób, że najbliżej Prezydenta są dwie najstarsze (nie wiekiem, broń Boże — bo o to nikt nigdy kobiety nie pyta — lecz rangą) panie, a najbliżej Jego Małżonki dwaj najwyżsi rangą panowie, i tak dalej.

Gdy więc np. p. Prezydent ma obok siebie z prawej strony ambasadorową turecką, panią Ferid Tek (dziekankę pań korpusu dyplomatycznego), a z lewej ambasadorową niemiecką hrabinę von Moltke (następną rangą, bo jej mąż „idzie" zaraz za ambasadorem tureckim). Pani Prezydentowa ma z prawej strony marszałka Śmigłego-Rydza, a z lewej nuncjusza papieskiego ks. Cortesi — dziekana korpusu dyplomatycznego.

A potem „przeplatanka", bardzo skrupulatna. A więc za ambasadorową turecką na prawo siedzą kolejno: ambasador niemiecki von Moltke, ambasadorowa włoska baronowa Arone di Valentino, ambasador amerykański Drexel-Biddle, posłowa portugalska pani de Sousa Mendes, minister Beck, posłowa grecka pani Collas, poseł estoński Markus, ministrowa hr. Szembekowa, poseł grecki Collas, posłowa duńska pani Schou. Za ambasadorową niemiecką na lewo: ambasador angielski Kennard, ambasadorowa japońska pani Sako. ambasador rumuński Franassovici, posłowa estońska pani Markus, minister Kwiatkowski, posłowa bułgarska pani Trajanowowa, poseł węgierski Hory, ministrowa Bobkowska, poseł czeskosłowacki Slavik. Za marsz. Śmigłym-Rydzem na prawo: ambasadorowa angielska lady Kennard, ambasador francuski Noël, ambasadorowa rumuńska pani Franassovici, ambasador japoński Sako. ministrowa Romanowa, poseł norweski Ditleff. Za nuncjuszem papieskim na lewo: małżonka ambasadora francuskiego pani Noël, ambasador włoski baron Arone di Valentino, ministrowa Beckowa, marszałek Sejmu Makowski, posłowa brazylijska Figueira de Mello, poseł portugalski de Sousa Mendes, ministrowa Kalińska. I tak dalej przy stołach bocznych.

Przeplatanka jest o tyle względna, że pań było znacznie mniej, niż panów. Widać to było już przy defiladzie do stołu, gdzie po szeregu par, reszta panów szła sama. Ta defilada była zresztą, też bardzo misternie uszeregowana. Jest właściwie poniekąd jeszcze trudniejsza do ułożenia, bo trzeba się starać nietylko o to, aby każdy miał odpowiedni randze „krok", ale i prowadził damę, która niezbyt daleko, a raczej najbliżej jego

siedzi, co znów jest niełatwa sprawa, ponieważ przecież siedzi się „poczwórnie“, to zn. po dwóch stronach stołu, na lewo i na prawo.

Więc tu znów łatwem było tylko obmyślenie dwóch pierwszych par: p. Prezydent szedł z ambasadorową turecką w pierwszej parze, a p. Marszałek Śmigły-Rydz z panią Prezydentową w drugiej. Dalej już było trudniej. Oto, jak wyglądała ta mrówczo skonstruowana defilada w dalszym ciągu... Jaka tu rozmaitość rang, resortów, narodów! Starannie sobie wszystko zanotowałem i oto relacjonuję. Kroczą więc: nuncjusz papieski ks. Cortesi z ambasadorową francuską panią Noël, ambasador włoski bar. Arone di Valentino z ministrową Beckową, ambasador francuski Noël z ambasadorową angielską lady Kennard, ambasador niemiecki von Moltke z ambasadorową włoską baronową Arone di Valentino, ambasador angielski Kennard z ambasadorową niemiecką hrabiną von Moltke, ambasador japoński Sako z ambasadorową rumuńską Franassovici, ambasador rumuński Franassovici z ambasadorową japońską Sako, ambasador amerykański Drexel-Biddle z posłową portugalską panią de Sousa Mendes, minister Beck z posłową grecką panią Collas, marszałek Sejmu Makowski z posłową brazylijską Figueira de Mello, minister Kwiatkowski z posłową estońską panią Markus, poseł norweski Ditleff z ministrową Romanową, poseł portugalski de Sousa Mendes z ministrową Kalińską, poseł estoński Markus z ministrową Szembekową, poseł grecki Collas z posłową duńską panią Schou, poseł węgierski Hory z posłową bułgarską panią Trajanowową, poseł czeskosłowacki dr Slavik z ministrową Bobkowską, minister Świętosławski z posłową łotewską panią Ekis, minister Roman z posłową holenderską panią Bosch van Rosenthal, poseł duński Schou z panią ministrową Michałową Mościcką, minister Ulrych z posłową chińską panią Uong Kin-ki, poseł jugosłowiański Vlkćević z panią Aleksandrową Łubieńską, poseł chiński dr Uong Kin-ki z panią Henrykową Zaniewską, poseł szwajcarski Martin z małżonką argentyńskiego chargé d'affaires panią Calvo itd. itd. Reszta panów szła sama, byli między nimi: podsekretarze stanu hr. Szembek i Bobkowski, min. Arciszewski, dyr. Al. Łubieński, dyr. M. hr. Łubieński, poseł R. P. w Brukseli min. Michał Mościcki, prezydent m. Warszawy Starzyński, wojewoda Jaroszewicz, członkowie domu cywilnego i wojskowego p. Prezydenta R. P. i in.

Na ozdobnym kartonie wydrukowano złotemi literami w języku francuskim następujące menu: Consommé Marquise-Sandre à la Varsovienne-Selle d'agneau garnie-Dinde Isabelle de France, salade-Asperges, sauce Mousseline-Glaces Elisabeth-Barquettes Charles Quint-Dessert.

Przygrywała w czasie obiadu orkiestra symfoniczna 36 p. p. pod dyrekcją p. Rudolfa Pietrońca. Co grała? Oto program: 1. Kurpiński — Polonez, 2. Osmański — Pieśni ludowe, 3. T. Popy — „Suite Orientale“, 4. Puccini — Fantazja z op. „Cyganerja“, 5. Nowowiejski — Fantazja z op. „Legenda Bałtyku“, 6. J. Strauss — „Märchen vom Wienerwald“, 7. Gilbert — „Gdy wiosna powróci“, 8. Moniuszko — mazur z op. „Straszny Dwór“.

Po obiedzie goście wstali od stołu i pili kawę w czterech przyległych salach: Obiadów Czwartkowych, Marmurowej, Żółtej i Zielonej.

Zbliżała się godzina przybycia zaproszonych na raut. P. Prezydent R. P. z Małżonką oraz panami z Kancelarji Cywilnej i Wojskowej i z Protokółu Dyplomatycznego M. S. Z. udali się do sali Rycerskiej, gdzie witał przybywających gości, każdego z osobna. Był to trud niemały, zważywszy, ilu osobom trzeba było uścisnąć rękę. Auta stały w kilku rzędach, bo do bramy Zegarowej wpuszczano je po jednem, więc ogonek aut ciągnął się kilkaset metrów po Krakowskiem Przedmieściu i aż do Nowego Świata. Kto później przybył, musiał spędzić i pół godziny w samochodzie...

Szatnia działała sprawnie: można się było natychmiast rozebrać i udać głównem wejściem do sal zamkowych. Tu znów — kolejka. W kilka szeregów posuwano się powoli przez sale, by dostąpić zaszczytu „shakehand'u“ z Dostojnym Gospodarzem i ucałowania rączek Jego Małżonce. Mijano więc kolejno sale: Mirowską, Oficerską, Canaletta, Audjencjonalną, Sypialnię Królewską, Dużą Garderobę, Salę Tronową, docierając do Rycerskiej, gdzie się odbywało powitanie.

Oczywiście, zbyt długo to trwać nie mogło. Po godzinie, gdy już defilada przybywających mocno się przerzedziła, p. Prezydent z Małżonką przeszli do dalszych sal, a mianowicie do Sztandarowej, Owalnej, Marmurowej i Żółtej, by w Zielonym Gabinecie spocząć na kanapce z dyplomatami i móc z nimi chwilkę pogawędzić. Orszak poprzedzony był przez „majordomusa“ Michalskiego w jedwabnym czarnym stroju, w łańcuchu z orłem na piersiach i wielką laską ochmistrzowską, za nim w odstępie kroczyli adjutanci p. Prezydenta R. P. kpt. Hartman i por. Kryński, p. Prezydenta zaś bezpośrednio poprzedzał p. o. dyrektor protokółu dyplomatycznego p. Al. Łubieński. Za Prezydentem: szef kancelarji wojskowej gen. Schally, szef. kancelarji cywilnej dr. Łepkowski, kierownik referatu ogólnego radca Zaniewski oraz hr. Morstin z Protokółu Dyplomatycznego MSZ. i in.

W salach Sztandarowej, Obiadów Czwartkowych i in. stały stoły, suto zastawione. Usługiwali lokaje w karmazynowej liberji. Goście krążyli po salach: byli tu przedstawiciele sfer rządowych, arystokracji i dziennikarskich, zwłaszcza ci, co mają taką lub inną styczność z dyplomacją, reprezentowaną na raucie w całym komplecie, bo pod jej znakiem raut ten był wydany. Wszyscy byli nim zachwyceni i opuszczali Zamek po paru godzinach pod najmilszem wrażeniem. H.



Pan Prezydent Mościcki rozmawia z reprezentantami korpusu dyplomatycznego: na prawo od Pana Prezydenta widoczny ambasador japoński Sako, minister Beck, J. E. ks. nuncjusz Cortesi, ambasador amerykański Drexel-Biddle, ambasador rumuński Franassovici, Marszałek Śmigły Rydz, ambasador niemiecki v. Moltke, ambasador włoski br. Arone di Valentino, ambasador francuski Noël, ambasador brytyjski Kennard.

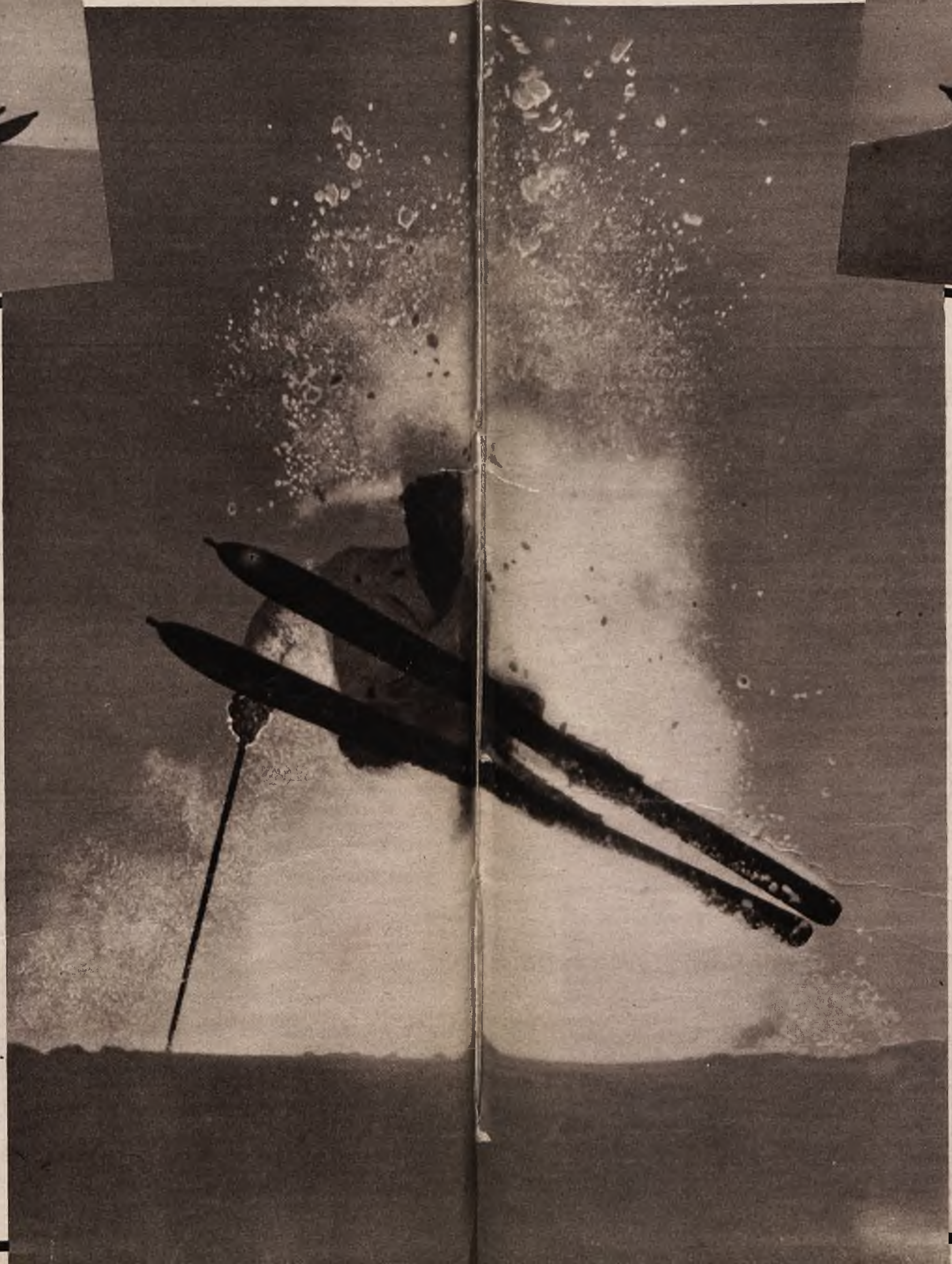


Miła pogawędka toczy się przy okrągłym stole, naokoło którego zajęła miejsce Pani Prezydentowa w otoczeniu pań z świata dyplomatycznego. Od lewej widzimy p. ambasadorową Franssovici, p. ministrową Beckową, p. ambasadorową Sako, P. Prezydentową Mościcką (na kanapie), p. ministrową hr. Szembekową (pierwsza na prawo), p. ambasadorową Kennardową, p. ambasadorową Noëlową, p. ambasadorową bar. di Valentino. p. ambasadorową v. Moltke.



Świat POD ZNAKIEM NART

ZAKOPANE PRZED F. I. S.-em.





Wszędzie, gdzie śnieg zimową porą bieli ziemię — szerzy się dziś królestwo nart. Ma ono swych poddanych we wszystkich dosłownie częściach świata — zarówno w Europie, jak w Ameryce, w Azji, Australji i nawet na „Czarnym Lądzie“. Wysokie góry na równiku — choć tropikalna dżungla szumi u ich stóp — zwiedzane są przez narciarzy coraz liczniej.

Do niedawna narciarstwo znane było tylko na dalekiej Północy, gdzie tego niezwykłego sprzętu używał człowiek, zmuszony do ciężkiej walki z zimową przyrodą. Kiedy zaś zaczął on korzystać z niezrównanej właściwości ślizgania się płóz drewnianych po śniegu — niewiadomo. W torfowiskach Laponji znaleziono niedawno resztki nart, których wiek — za pomocą niezawodnych metod naukowych — określono na 4.000 lat.

Już wtedy zatem, gdy budowano piramidy nad Nilem, gdy toczyła się wojna o Troję, gdy zakładano Rzym — na dalekiej Północy biegali myśliwi po śniegu na cudownych swych deskach. W sagach zaś norweskich istnieją wspomnienia, że jeszcze przed tysiącem lat skakano na nartach. Coprawda daleko jeszcze było wówczas do dzisiejszych zawodów, czy konkursów.

I na ziemiach polskich także znane było narciarstwo przed wiekami, choć poszło później w zupełne niemal zapomnienie. I u nas — choćby za czasów Batorego — zanotowano używanie nart w czasie wojen moskiewskich. Istnieją także wspomnienia o tem, że miały one zastosowanie w lasach dla celów myśliwskich. Zapomniano jednak o tem zupełnie i przez długie lata człowiek zimową porą był uwięziony w domu.

Dopiero schyłek ubiegłego wieku przyniósł wielką przemianę. Rozpoczął się zwycięski pochód nart przez wszystkie części świata, przez wszystkie kontynenty, gdzie istnieją choćby skromne możliwości uprawiania narciarstwa. Bodźcem zaś i dźwignią ruchu przestały być cele praktyczne i komunikacyjne. Na ich miejsce wystąpił wszechpotężny sport i czarująca zimowa wędrówka.

W Europie niema dosłownie ani jednego kraju, gdzie narciarstwo byłoby czemś nieznanem. Nawet najdalej na południe wysunięte części kontynentu europejskiego objęte są tą „białą magją“. Narkotyk narciarstwa działa wszędzie. Kwitnie ono nie tylko w swej właściwej ojczyźnie, to jest w Skandynawji, ale żywiołowo rozwija się w całej środkowej Europie. Znane jest w Hiszpanji, Grecji i Turcji, a więc w tych krajach, gdzie zima królować może bardzo krótko i to tylko na najwyższych szczytach górskich. Niedawno pod Rzymem otworzono nowoczesne zimowisko...

Choć później od Europy — także i Ameryka (zwłaszcza północna) wzięła udział w tym triumfalnym pochodzie narciarstwa. Ma ono podobne do europejskiego oblicze, choć nie brak mu swoistych cech amerykańskich i amerykańskiego rozmachu. Narciarstwo jest także coraz powszechniejsze w Azji, wspaniałym rozwojem cieszy się w Japonji, w Indjach, i w rozległych tundrach syberyjskich. Znane jest w Australji i w Nowej Zelandji, znane jest w Afryce...

Wszędzie istnieją niezliczone kluby narciarskie, związki; wszędzie tworzą się zimowiska, buduje szlaki zimowo-turystyczne, udostępnia tereny.

Znamienną zaś ewolucję przeszedł sport narciarski. Zawody i konkursy narciarskie emocjonują dziś tysięczne rzesze, które gromadzą się wokół olbrzymich skoczni, na trasach biegów zjazdowych, wzdłuż szlaków biegów dystansowych. Nazwiska asów obiegają kulę ziemską.

Wśród wielkich zawodów narciarskich czołowe miejsce zajmują doroczne spotkania Międzynarodowej Federacji Narciarskiej t. zw. „zawody F. I. S.“, które od kilku lat rozgrywane są pod oficjalnym tytułem narciarskich mistrzostw świata. Godzi się wspomnieć, że pierwsze w dziejach światowego narciarstwa zawody F. I. S. odbyły się w Polsce przed dziesięciu laty. Otworzyły one serję tych wspaniałych imprez, które co roku organizuje coraz to inny kraj, starając się postawić je zawsze na możliwie najwyższym poziomie.

Teraz znowu przyszła na Polskę kolej organizowania tych zawodów, które przez długie dni trzymać będą w napięciu uwagę całego świata zimowo-turystycznego. Przygotowania do tej imprezy prowadzone są przez Polski Związek Narciarski już od dwóch lat. Teraz — w przededniu niemal tak bardzo już popularnego FIS-u — są one tak daleko posunięte, że o ile dopiszą warunki śnieżne — to narciarskie mistrzostwa świata w Polsce będą jednem z najświetniejszych zdarzeń zimowego sportu od kilkudziesięciu lat.

Pod znakiem tej wielkiej imprezy przebiega u nas cały dotychczasowy sezon zimowy. Zakopane zostało wzbogacone o nowe, liczne urządzenia, które stanowić będą godną oprawę dla wielkich zawodów. Powstał nowy, (jeden z najpiękniejszych w świecie) stadjon narciarski, powstała nowa kolejka na Gubałówkę i liczne inwestycje. Pozwolą one na przeprowadzenie mistrzostw w dogodnych warunkach technicznych.

Niełatwe zapewne będzie zadanie organizatorów, aby wielką tę zakopiańską imprezę rozwinąć w odpowiedni sposób. Równie jednak trudne zadanie będą mieli czynni zawodnicy. Na ich barki spada odpowiedzialność za sportowe wyniki. Od długiego też czasu przygotowują się oni do wielkiego spotkania, zaprawiając się do ciężkich konkurencyj. Mieszkają w osobnym obozie, o ich formę fizyczną dbają specjaliści-trenerzy. Niemałą także troskę przykłada się do racjonalnego odżywiania zawodników. Dużą rolę w tem odżywianiu odgrywa „Ovomaltyna“, która od wielu już lat używana jest chętnie przez największe sławy sportu zimowego i wysoko ceniona.

Kilka jeszcze tygodni dzieli nas od narciarskich mistrzostw świata w Zakopanem. Ich program jest całkowity, to znaczy: obejmuje zarówno wszystkie konkurencje klasyczne, jak też wszystkie punkty programu zjazdowego. Odbędzie się zatem wielki bieg rozstawny 4×10 km o mistrzostwo świata, a walka reprezentacyj kilkunastu narodów będzie niewątpliwie wspaniała. O palmę pierwszeństwa i tytuły mistrzów świata w biegach 18 km, 50 km, i złożonym biegu klasycznym, potoczy się równie zażarta, choć w rycerskich ramach sportowych utrzymana, rozgrywka.

Największe zaciekawienie wzbudzi oczywiście wielki konkurs skoków. Tu największy nasz as — Stanisław Marusarz — spotka się z prawdziwemi gwiazdami skoku, który jest przecież koroną narciarstwa. Wreszcie biegi pań i panów oraz slalom, zgromadzą na widowni nieprzeliczone tłumy. Już wnet zatem, bo 11 lutego b. r., rozpoczną się te mistrzostwa, które są już dziś największem zdarzeniem polskiego sportu w ostatniem dwudziestoleciu.

F.

Ja tę twarz gdzieś widziałem!

Gdy przybywamy na czas jakiś do obcego miasta, pytamy tubylców:

— Czy macie ogród zoologiczny?

Zwiedzanie ogrodu zoologicznego, to ulubiona rozrywka nietylko dzieci, ale i dorosłych. Bawimy się wybornie, oglądając komiczne, lub osobliwe „typki" ze świata zwierzęcego. I rzecz ciekawa, że zawsze doszukujemy się w sylwetce, lub wyrazie „twarzy" mieszkańców zoologicznego ogrodu — podobieństwa do naszych znajomych. Dosadnie ilustruje to zjawisko znana anegdotka.

— O, patrz mamusiu — woła mały Staś— jak ten szympans jest podobny do stryja Anzelma!

— Ciiicho! — strofuje mamusia. — Nie można tak mówić, bo jeszcze się obrazi...

— Ee, chyba ten szympans nie słyszał!...— odpowiada trochę speszony „milusiński".

Zapewne — nie wypada robić głośnych uwag, bo „jeszcze szympans usłyszy"... Ale co do mnie — nigdy nie mogę oprzeć się wrażeniu, że dla bystrego obserwatora zwierzęta są w pewnej mierze sobowtórami ludzi. I patrząc na nie, zadajemy sobie często pełne zdziwienia pytanie:

— Ja tę twarz gdzieś widziałam!...

Gdy patrzę na pingwiny zawsze przypomina mi się historja radcy Piórkiewicza. Był to wzorowy urzędnik. Pełen szacunku dla zwierzchników i słabo maskowanej pogardy dla „stron". Interesanci urzędu, w którym pracował, musieli przecież uświadomić sobie, że pan radca — to jednak niebylejaka figura! Radca Piórkiewicz nosił się z godnością, był małomówny i — jak to mówią — zamknięty w sobie.

Poznałem go kiedyś u znajomych i od tego czasu wymienialiśmy ukłony, gdy spotkaliśmy się w kawiarni. „Jego" bowiem kawiarnia była przypadkowo też „moją"... Niekiedy zamienialiśmy kilka słów.

— Pogoda nieszczególna — mówił naprzykład pan radca ze skąpym uśmieszkiem na wąskich wargach.

Zawsze przytakiwałem, choćby nawet słońce świeciło rozkosznie.

Zdawało mi się, że jest to człowiek zupełnie beznamiętny, bez wielkich pragnień i tęsknot. Aż pewnego dnia spotkałem go nie w kawiarni, lecz na ulicy. Był wzburzony, szedł prędko, mówiąc coś do siebie i gestykulując rękami.

— Moje uszanowanie!

Zatrzymał się.

— Aa, sługa... — mruknął. I nagle wybuchnął: — Czy pan wie... czy pan wie, że Kopytkiewicz dostał złoty krzyż zasługi, a ja — JA!! — mam tylko srebrny?!

Był blady, spocony, w oczach miał łzy. Nie czekając na odpowiedź, pobiegł dalej, zgarbiony pod ciężarem strasznej wiadomości.

Dyrektora nikt nie lubił. Nikt w tem małem mieście nie był tak bogaty, jak on. Dla swoich podwładnych był surowy i bezwzględny. Drżeli przed nim i nienawidzili go.

— To jest człowiek o kamiennem sercu — mówili.

— Człowiek?... — odpowiadali inni ironicznie, wzruszając ramionami.

Jeden z moich przyjaciół był buchalterem w jego firmie. Gdy raz zobaczyliśmy brzydką, zdegustowaną mordę buldoga, wyglądającego przez okno wspaniałej limuzyny, mój przyjaciel powiedział:

— To pies dyrektora. Patrz, jaki podobny do swego pana!...

W jakiś czas potem przechadzaliśmy się po parku. W pewnej chwili mój przyjaciel drgnął, zatrzymał się i gestem nakazał mi milczenie.

Staliśmy w odległości kilku kroków od ławki, na której siedział tęgi jegomość z małym chłopczykiem.

— Dyrektor... — szepnął buchalter. — Napewno uczy syna, jak ma ciemiężyć ludzi, żeby powiększać majątek!

Na palcach zbliżyliśmy się i stanęliśmy tuż za ławką. Dyrektor mówił:

— ...i wtedy królewicz na białym koniu przybył na szklaną górę, wioząc czarodziejski kwiat,, aby wyzwolić zaklętą królewnę...

Spojrzeliśmy na siebie. Mieliśmy dziwne miny. Odeszliśmy cicho.

— Zadziwiające! — powiedział mój przyjaciel, trąc czoło. — Nigdybym nie przypuszczał, że on jednak jest człowiekiem!...

* * *

W wielkiej klatce, za gęstą siatką, pyszniły się niezwykłą urodą rzadkie okazy ptactwa domowego. Nie wiem nawet, jak się ten ptak nazywa, ale zwróciłem na niego uwagę, gdyż tak bardzo przypominał mi naszego profesora. Profesor M. uczył polskiego. Nosił wspaniałą czupurynę, staromodne bokobrody, miał nos duży i krogulczo zakrzywiony, usta wąskie i oczy małe, zimne, odpychające. Przybysze do naszego miasta mówili:

— Kto to jest ten czcigodny pan? To pewnie jakiś wielki artysta?

Prof. M. całe życie poświęcił na to, aby nazywano go wielkim i — artystą. Zamłodu wydał tomik poezyj. Pamiętam kilka jego strof: były puste, banalne, słabe. Ale profesor M. miał system. Gdy uczniowi groziła niedostateczna ocena, profesor mówił obojętnie:

— No, ewentualnie mógłbym ci postawić dostatecznie, gdybyś się porządnie nauczył jakiegoś dobrego wiersza. To ważne, żeby

Poniżej: Interesy idą dobrze...





Powyżej: I co mi zrobisz?



Nie wywiedziesz mnie w pole.



Z uśmiechem przez życie...

umieć pięknie deklamować wybitne wiersze.

Wiedzieliśmy, co to znaczy: należało nauczyć się napamięć wiersza z tomiku profesora M. Warto było wiedzieć, jaką minę miał profesor, gdy wygłaszano jego wiersz!... Stale zapowiadał, że wyda „następny" tom wierszy. Ale nie wydał. Umarł — i wspomnienie po nim szybko zagasło. O, jakże byłby stroskany, gdyby dowiedział się, że przypomniałem go sobie — przed klatką z okazami ptactwa domowego!...

Czy widzieliście śmiejącego się konia? Uderzające podobieństwo do „pana Józefa", który przez kilka lat golił mnie i pielęgnował moją czuprynę. Zawsze opowiadał mi przytem dziesiątki dykteryjek z kalendarza, dzielił się ze mną swemi troskami i zwierzał mi w największej tajemnicy nazwy koni, które miały nazajutrz wygrać na wyścigach. Dykteryjki były bardzo stare, troski banalne, a domniemane „murowane" typy stale zawodziły. Mimo to lubiłem pana Józefa. Aż pewnego dnia ujrzałem ze zdziwieniem, że pan Józef nie uśmiecha się i milczy. Jego kolega, pan Adam, wyszeptał mi do ucha wielką nowinę:

— Józefa spotkał zawód miłosny... Narzeczona, z którą miał się żenić za miesiąc, zakochała się w innym. Obawiamy się, że popełni samobójstwo... Niech pan spojrzy, jak on ostrzy brzytwę!...

Ale nazajutrz pan Józef znów przypominał mi śmiejącego się konia.

— Zerwałem z babą! — oświadczył mi. — Czy pan da wiarę, jak ona ma na imię? Ha, ha! Kazała się nazywać: Nela... Bardzo ładnie, prawda? A tu ci nagle wyszło na jaw, że ona jest — Petronela! Ha, ha! Co pan szanowny na to? Ho, ho, ale nie dałem się wyprowadzić w pole — zerwałem. A teraz myślę o jednej małej... Uważa szanowny pan manikirzystka z wielkiego zakładu... Ładna dziewczyna! Co za oczy!... Dwa jeziora, proszę szanownego pana! Puderku można?... Myślę o niej poważnie, proszę szanownego pana.

Patrzyłem na pana Józefa. Uśmiechałem się, choć serce mi się ściskało na myśl: — czy każdy optymista musi mieć tak głupią gębę?...

Nazywaliśmy go: Jamnik. Miał smutny wyraz twarzy, był ociężały, leniwy i pozwalał się pieścić matce, jak małe dziecko, chociaż miał już prawie trzydziestkę. Szkoły nie skończył. Pędził żywot pasorzyta. Śmialiśmy się z niego, choć właściwie powinien budzić litość. Aż pewnego wieczoru wydarzyło się coś niezwykłego. Spotkałem Jamnika na ulicy. Był podniecony, inny. Oczy mu błyszczały.

— Kończę z tem leniwem życiem! — zawołał. — Zabieram się do nauki. Zdam maturę, jako eksternista, potem zapisuję się na politechnikę... Ha, matka musi mieć ze mnie pociechę!

Byłem zachwycony. Nazajutrz poszliśmy w kilku — wszystko koledzy szkolni Jamnika — żeby mu pogratulować wielkiego planu i zachęcić do wytrwania. Jamnik drzemał na szezlongu. „Nie budźcie go" — prosiła jego matka — „Główka go boli...". Ale obudziliśmy go. Zabrałem głos. „Jamnik" ziewał co chwila. Gdy skończyłem, powiedział niezmiernie leniwie:

— Aaa... to! No, wiesz. Czy nie poznałeś, że byłem pijany? Przecież po trzeźwemu nie gadałbym takich głupstw!

Wyszliśmy zgnębieni. Biedny Jamnik!

* * *

Papugi, wiecznie złe, skrzywione, skrzeczące — przypominają mi dwie kumoszki, wypatrujące cudzego nieszczęścia, szczęśliwe, gdy mają o czem plotkować. Pamiętam: mieszkały dwie takie w pewnem mieście. Były przyjaciółkami „od serca". Plotkowały tylko na innych. Aż wydarzyło się, że pewien mało wybredny dziwak poślubił jedną z nich. Gdy szczęśliwa oblubienica wychodziła z kościoła, jej przyjaciółka zaskrzeczała triumfalnie:

— Nic nie mówię, moja pani, ale to będzie heca, jak się sypnie, że ona ma sztuczne szczęki i watowany biust! He, he, he...

Zabawne: gdy ujrzałem w ogrodzie zoologicznym lisa, odrazu przypomniałem sobie pana Turlickiego. Sam zresztą mawiał o sobie: „O, ja jestem lis! Mnie nikt nie wyprowadzi w pole!" Był lisem — to prawda. Umiał intrygować. Stał się postrachem kolegów. Awansował niebywale. Aż pewnego dnia dowiedzieliśmy się od niego:



Na prawo: Ludzie nie poznali się na mnie.



Chętniebym jeszcze coś zjadł.



Sługa pana radcy!



Czy słyszałaś co mówiła nasza sąsiadka?

— Żenię się z posażną panną. Czy ładna? Tak sobie... Ale forsa!... Oho, znacie mnie: ja jestem lis, mówię wam — lis!

Odbył się ślub i wspaniałe wesele pana Turlickiego. A potem — potem okazało się, że „stary" jest bankrutem i pani Turlicka nie dostała grosza posagu. Od tego czasu już nie mawiał: „O, ja jestem lis..." Został mu tylko lisi wyraz twarzy...

Ten restaurator był niezwykle podobny do ryby. Oczy na wierzchu, grube wargi, twarz nalana i bez wyrazu. Stale coś jadł. Mówiliśmy często: „Ten człowiek przejadł życie..." Raz zauważyliśmy, że brakuje mu u lewej ręki dwóch palców. Ktoś, chcąc być dowcipny, zawołał:

— Widzę, że pan kiedyś poświęcił do bigosu dwa palce!

Grubas spoważniał.

— Pan się myli — odparł — dwa palce straciłem na wojnie. Mam krzyż walecznych.

Przepraszaliśmy go skwapliwie — i nawet przestaliśmy nazywać go „Rybą", choć tak bardzo był do niej podobny...

* * *

Ociężały, leniwy hipopotam, komiczny wielbłąd, czy nerwowa, zgrabna gazela — mają swoje „odpowiedniki" w świecie ludzkim.

Wydaje się, że jednak sporo słuszności ma to żartobliwe westchnienie: — Boże, jakże wielki twój zwierzyniec!

Zapewne zdawiendawna zastanawiali się ludzie, patrząc na zwierzęta: „Ja przecież tę twarz gdzieś widziałem?". Dowodzą tego liczne karykatury, na których ludzie są stylizowani na zwierzęta. A teraz odwróćmy sytuację. Zwierzęta są inteligentne. Zwierzęta myślą. Kto wie, czy jakiś szympans, lub lew, ujrzawszy przed klatką człowieka, nie mówi w swym szympansim, czy lwim języku:

— Ja tę twarz gdzieś widziałem! Ależ to wykapany osioł, słowo daję!...

Bogdan Brzeziński.

Ciąg dalszy ze str. 7-ej.

Jubileusz 20-lecia „związku młodych pracowników" — śmiejących się „nadnaturalnie" — na 5 znaczkach (druk czcionkowy), uzasadniał bardziej emisją, aniżeli 8 egzemplarzy, emitowanych dla propagandy sportu. Heljograwura oddaje doskonale sceny ruchome i nie możemy się tu dopatrzeć żadnej „herezji" — jaką często spotyka się na innych znaczkach sportowych.

Indje Holenderskie są prawdopodobnie najpilniej zbieraną kolonją pozaeuropejską wśród filatelistów i warto rzeczywiście polecić ją wszystkim tym, którzy zajmują się samą Holandją. Znaczki dobroczynne, wydane w grudniu, przedstawiają siostrę miłosierdzia, opiekującą się malajskiemi bobaskami.

Bardzo ciekawy dopisek spotykamy ostatnio na znaczkach Holandji, a mianowicie zaznaczony jest okres ważności obiegowej każdego egzemplarza. Jest to bezwątpienia bardzo pożyteczna inowacja, powinna być tylko wykonana podobnie dyskretnie, jak w tym wypadku. Niezrozumiałem jest natomiast, dlaczego nie uwidoczniono dopłat, pobieranych na cele dobroczynne.

We Francji, jak zwykle, panuje pewien nieporządek wśród znaczków regularnych (Merkury za 15 c, 25 c, Symbol Pokoju za 90 c. zielony i niebieski, za 80 c. pomarańczowy) przeplatany jest ukazaniem się w obiegu pięknych znaczków krajobrazowych. Tym razem notujemy wartość za 2 franki w tonie sepia, przedstawiającą łuk trjumfalny w miejscowości Orange.

Nie dosyć na tem — w tece naszej znajdują się już dalsze serje, a dla ciekawszych będzie to miłą(?) wiadomością, że wydały je: Gdańsk, Finlandja i Portugalja.

W. H.

Ciąg dalszy ze str. 8-ej.

Znana powszechnie gąbka do mycia, coraz silniej wypierana z użycia przez gąbki gumowe, pochodzi z mórz greckich, natomiast mniej poszukiwane, ale pięknego, kulistego kształtu, są gąbki z wybrzeży Dalmacji.

Gąbki przez nas używane, to jedynie oczyszczony szkielet zwierzęcia, zbudowany z gęstej pilśni włókien, utworzonych z substancji, podobnej do rogu, t. zw. sponginy. Liczne otworki i kanaliki widoczne doskonale i na szkielecie, to przestrzenie, które za życia zwierzęcia wysłane są komórkami. — Krąży niemi woda a w raz z nią zawarty w niej tlen i cząstki pokarmu.

Jeszcze słynny przyrodnik szwedzki, Karol Linneusz, żyjący w XVIII w., zwany słusznie ojcem systematyki zwierząt i roślin, nadaje gąbce nazwę zwierzo-krzewu — zoophyta. — Zaliczał tu Linneusz organizmy zwierzęce nieraz łudząco podobne do krzewów lub kwiatów, a co dalej, uważał je za formy przejściowe między roślinami a zwierzętami.

Aby zrozumieć, dlaczego nawet tej miary uczony mógł się w tym wypadku mylić i wyprowadzać fałszywe wnioski, zejdźmy kilka metrów pod powierzchnię morza w hełmie nurka przy brzegach n. p. wysp południowych. Oczom naszym ukaże się świat bajecznie kolorowy o barwach na powierzchni ziemi czy morza niespotykanych. Poprostu jakaś kraina baśni! Kolor wody morskiej łączy te wspaniałe barwy w cudowną harmonję.

Stopniowo oswoiwszy się z tym wspaniałym widokiem, zaczynamy rozróżniać kształty, co do których nie możemy absolutnie nabrać pewności, czy to zwierzęta czy rośliny.

Spostrzegamy ogromne, wielkością przewyższające największe chryzantemy, a jakżeż do nich podobne, ukwiały zwane anemonami. Mięsisty woreczek, stanowiący ciało tych okazów, przytwierdzony do podłoża skały, opatrzony jest licznemi paluszkowatemi czułkami, które nadają mu podobieństwo do tych pięknych kwiatów. Przy pomocy tych czułków chwyta ów, do kwiatu chryzantemy podobny rabuś, nieostrożne zwierzątka morskie jak raczki, rybki i wtłacza do otworu gębowego, znajdującego się między czułkami.

Ofiara dostaje się następnie do wnętrza nóżki, którą wypełnia jama, odgrywająca rolę żołądka a zarazem chłonąca strawiony pokarm. Stąd nazwa tych zwierząt, do których zaliczane są ukwiały i korale — jamochłony.

Na wybrzeżach Atlantyku a nawet w morzu Północnem, moglibyśmy zauważyć przyczepione do podwodnych skał inne ukwiały, zwane goździkami morskiemi. Już sama nazwa wskazuje na podobieństwo tych zwierząt do kwiatu goździka. Nóżka tego ukwiału, kształtu smukłej kolumny, opatrzona jest jakby koronkowym kapitelem zbudowanym z około tysiąca cienkich, stosunkowo krótkich ramion, przyczepionych w dwudziestu misternych kryzach do brzegu płytki gębowej. Barwa tych zwierząt bywa różna: biała, kremowa, szara a często spotykamy okazy barwy pięknie różowej. A obok dostrzec możemy znacznie mniejsze od kilkunastocentymetrowych goździków morskich, inne twory, o kształtach, przypominających płaczące wierzby, barwy oliwkowo-żółtej. To również ukwiały, dla swego kształtu zwane wdowiemi różami. W innem znów miejscu widzimy całe łąki podwodne, mchu morskiego, przypominającego kształtem gałązki cyprysu, długie prawie pół metra. Lecz ów „mech" morski nie jest niczem innem, jak kolonjami jamochłonów, najczęściej barwy brązowej. Rybacy wyławiają mech morski w dużych ilościach, suszą go, barwią na kolor zielony i sprzedają, znajduje on bowiem zastosowanie do dekoracji wnętrz, doniczek i do wyrobu różnych drobiazgów.

Lecz wróćmy na południe. Bogactwo form jest tu większe i przepych barw wspanialszy. Oto pośród znanych nam już ukwiałów, tkwi w piasku podwodnym czyżby liść paproci lub pióro jakiegoś fantastycznego ptaka? — Widać doskonale łodyżkę z 2-ch stron zdobną barwną chorągiewką. Lecz cóż się to dzieje? Mała rybka trąciła ten dziwny twór. Pióro rozżarza się w tem miejscu, potem jakby iskra przelatuje przez całą chorągiewkę i błyszczące potoki światła przelewają się po całem ciele tego zwierzątka. Jest to piórówka pięknej czerwonej barwy, posiadająca zdolność świecenia, zwana również piórem morskiem.

Lecz oto obok jakby olbrzymi liść, z którego pozostało jedynie tak zwane „unerwienie". Wygląda jak duży, bezlistny krzak, barwy cynobrowo-czerwonej, bądź to żółtej, bądź też fioletowej. Nie są to jednak żadne liście czy krzewy, lecz kolonje jamochłonów, korale rogowe zwane gąsciołami.

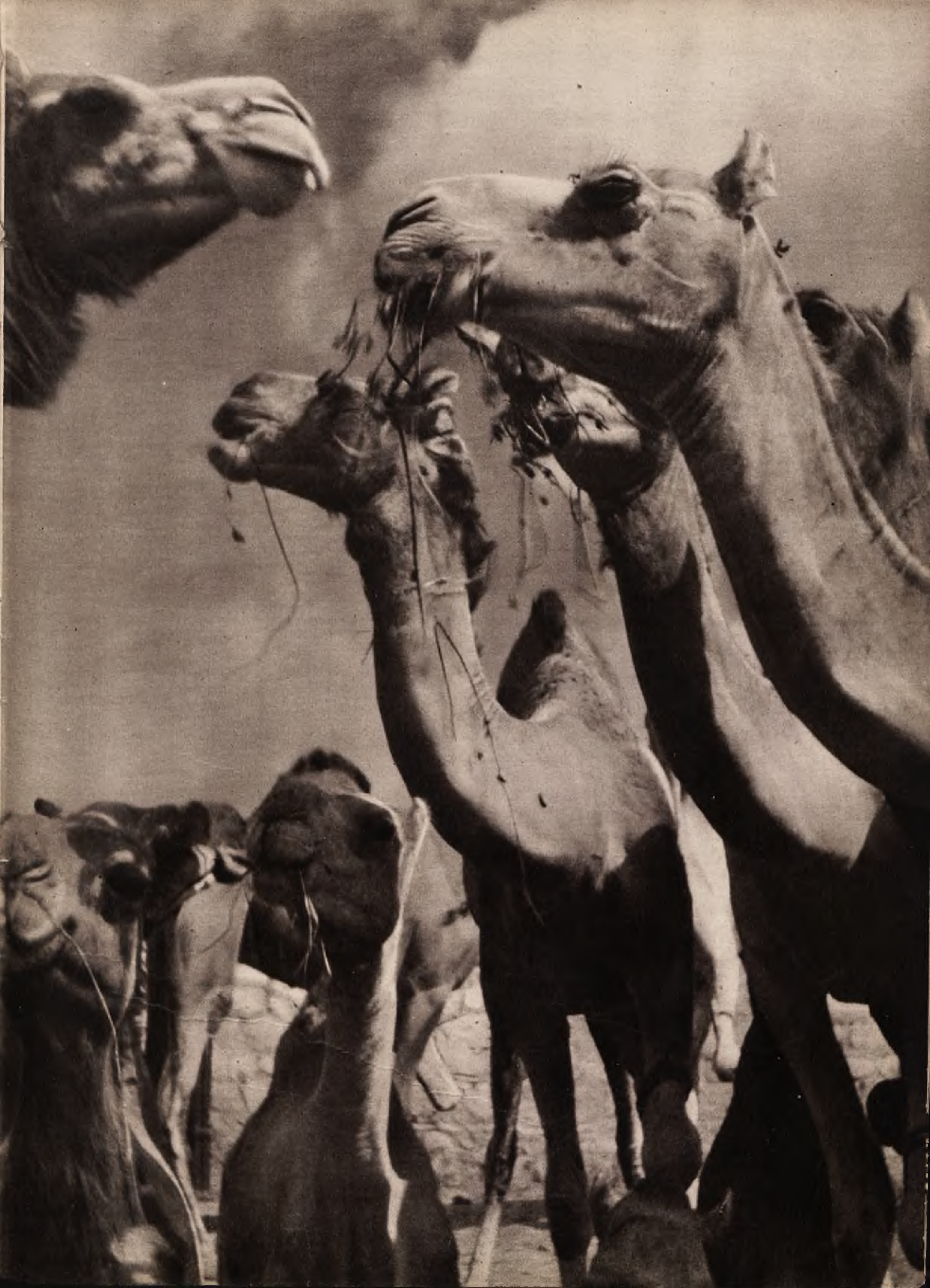
Niektóre korale posiadają zdolność pobierania rozpuszczonego w wodzie węglanu wapnia i budowania z tej substancji swego szkieletu. Gdy kolonja obumiera, pozostaje jedynie twardy szkielet. Przykładem może być biały korał, częsta ozdoba serwantek i półeczek. Za życia barwa tych zwierząt zależną jest od gatunku. W wodach przybrzeżnych widzimy często siarkowo-żółte korale, przypominające raczej gałązki kwieciem kryte, niż ciało zwierzęce. Zobaczyć możemy również wspaniałe karminowe gałązki madrepor, okrągłe bryły jasno-różowych meandryn, kształtem przypominające olbrzymich rozmiarów półkule mózgowe.

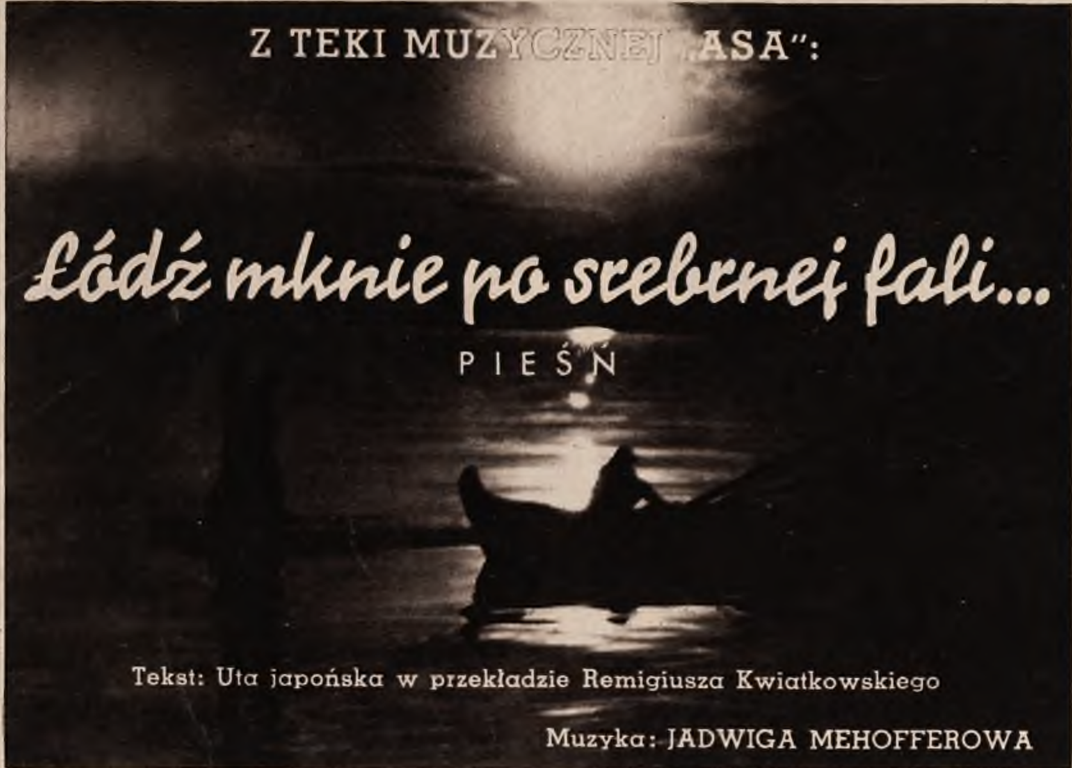
Jakżeż niezwykły to świat! Czyż dziwić się więc można, że tak roślino-kształtne organizmy, nie mogły znaleźć przez długi czas należnego miejsca w królestwie zwierząt?

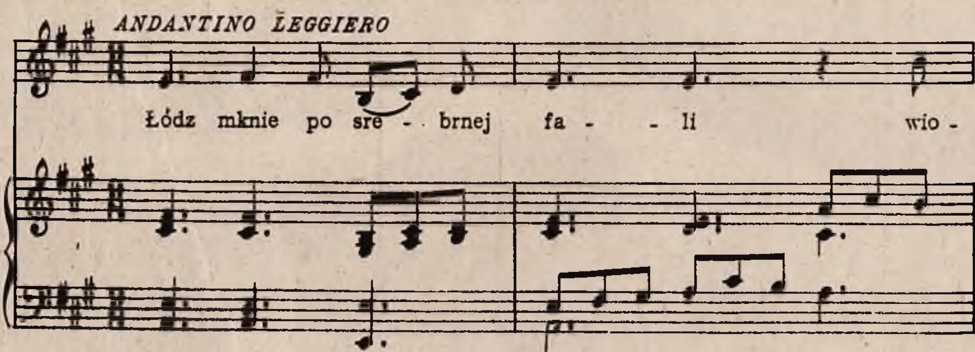
Światło i ciepło, pozwoliły na powstanie niezwykłego bogactwa form i życia, które człowiek badając, mimo dawniej popełnianych błędów, coraz dokładniej poznaje, a poznając, nie może oprzeć się zdumieniu jak bogatym i nad podziw pięknym jest świat istot żywych.

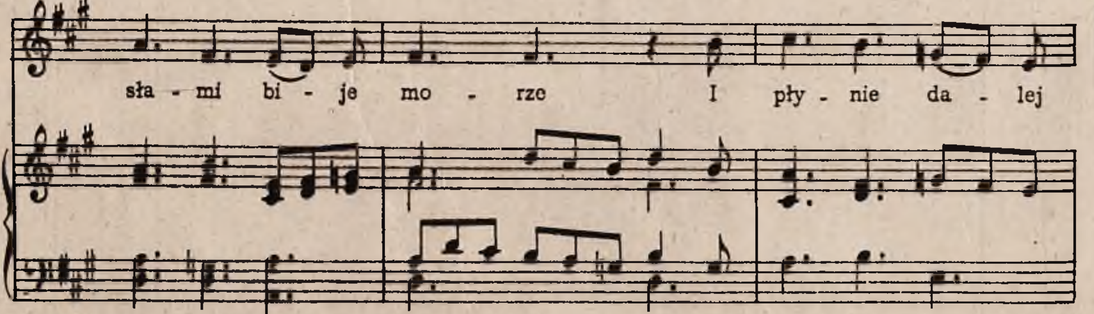
Dr. Józef Biborski.

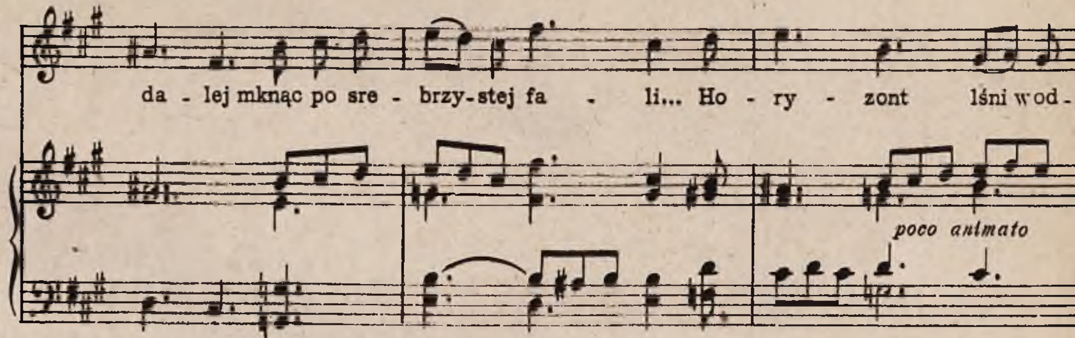
ZADUMA... Wielbłądy na targu w Kairo *Fot. dr. P. Wolff — Wiedeń*
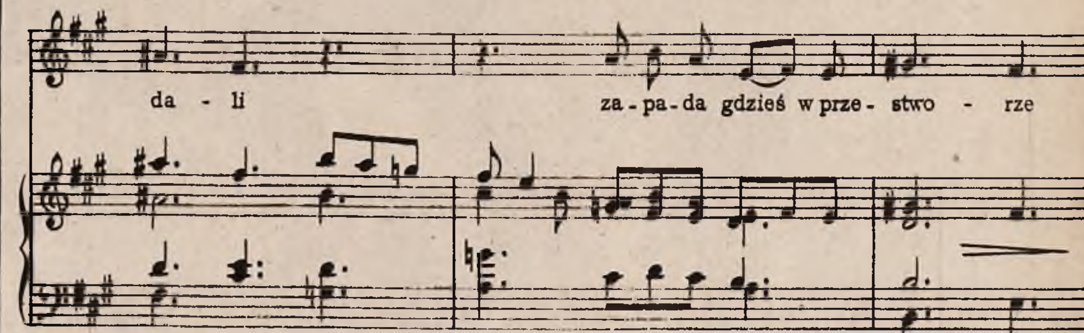


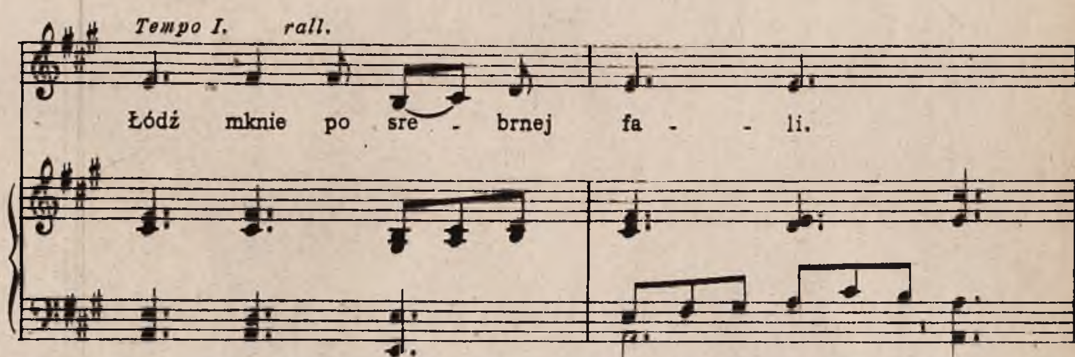

Z TEKI MUZYCZNEJ „ASA”:
Łódź mknie po srebrnej fali...
PIEŚŃ
Tekst: Uta japońska w przekładzie Remigiusza Kwiatkowskiego
Muzyka: JADWIGA MEHOFFEROWA


ANDANTINO LEGGIERO
Łódz mknie po sre - - brnej fa - - li wio -


sła - mi bi - je mo - rze I pły - nie da - lej


da - lej mknąc po sre - brzy-stej fa - li... Ho - ry - zont lśni wod -
poco animato


da - li za - pa - da gdzieś w prze - stwo - rze


Tempo I. rall.
Łódź mknie po sre - brnej fa - - li.

ŁOWCA TWARZY

★

MIECZYSŁAW LISIEWICZ

NOWELA

Lubię Bukareszt i lubię Rumunów. Niech sobie inni gadają, co chcą, a ja zawsze twierdzić będę, że to najmilszy naród, a Bukareszt najweselsze miasto Europy. Niewątpliwie, Rumuni nie są tak dostojni i tak pełni napuszonej powagi jak Anglicy, Niemcy czy Skandynawowie, ale zato umieją się śmiać nie gorzej od Francuzów, mają naprawdę łatyński umysł i łatyńskie zalety. Są gościnni, uprzejmi, zajmujący, bardzo wykształceni, pamięć mają znakomitą, świetnie rachują i świetnie tańczą. Rumunki zaś są skończenie piękne.

Mojem zdaniem naprawdę żyć można jedynie w upale, a tam kąpałem się w cudownem słońcu. Wino, to wyborny trunek — Rumunja to kraj wina. Ponurość jest chorobą północy — Rumuni są weseli. Toteż czas spędzony w Rumunji jest dla mnie zawsze najmilszem wspomnieniem młodości.

Bukareszt to bardzo dziwne miasto. Leży na szlaku wielkich dróg między Wschodem a Zachodem. Spotyka się w nim ludzi z całego świata: Francuzów, Włochów, Lewańtyńczyków, Amerykanów, Anglików, Węgrów i Belgów obok Turków, Rosjan, Persów i Chińczyków. Są między nimi nafciarze, handlarze złotem, bogaci maklerzy drzewni, przedstawiciele firm automobilowych i ci najciekawsi z podróżujących — pełnomocnicy fabryk broni, wreszcie cała falanga dyplomatów, szukających przygód. Te kolorową rzeszę spotkać można między szóstą wieczór a ósmą w barze hotelu Athenée Palace przy Calea Victoria. Wszyscy bez różnicy narodowości po krótkim pobycie w tym kraju ulegają jego czarowi: lenistwu wschodniemu, niedbałości o czas, i wesołej beztrosce. Pieniądz jest poto, by go wydawać na zabawę. Toteż bawią się wszyscy aż do upadłego. Panuje tu zupełna pod tym względem swoboda: każdy się może bawić, jak umie i jak chce. Nikt ci niczego za złe nie weźmie prócz: gdy zbyt długo nadskakujesz kobiecie. Tutejsze kobiety mają szczególne pojęcia o sprawach miłosnych i ostre języki, a są wszechwładne.

Początkujący cudzoziemiec na bruku bukareszteńskim jest jak nowonarodzone dziecię. Nie orjentuje się jeszcze. I ja też byłem wielu spraw nieświadomy. W chwili, kiedy rozpoczyna się to opowiadanie, siedziałem właśnie przy kieliszku Martini w Athenée. Obok mnie spoczywała na wysokim krzesełku pewna czarnooka i czarnowłosa istota o ponętnem imieniu Yvonne. Uświadamiała mnie. Z drugiej strony miałem jako towarzysza kapitana lotnika Grigoriu. On właśnie przed chwilą przedstawił mnie Yvonnie. Yvonna miała cały zapas anegdot, które reprodukowała z podziwu godną złośliwością i dowcipem. Słuchając ich patrzyłem na salę. A było na co patrzeć. Przy wielkim stole w rogu baru siedział sam Balbo z Maddaleną i całą ekipą włoskich lotników, niedaleko Balby znany z wielu komunikatów poseł niemiecki w towarzystwie sławnego Gronaua i księcia Bibesco, tego samego, którego cudowne uratowanie z płonącego samolotu narobiło wiele szumu w Europie. Nieco dalej między dwoma oficerami w błyszczących mundurach blondynka o szczupłej twarzy i niebieskich oczach, bohaterka wielkiego skandalu o prawdziwie królewskim posmaku. A przy drzwiach, ciągnąc „vermouth cu soda", siedział Ghica, sławny z niezliczonych przygód karcianych i miłosnych. — W jego towarzystwie siedziała pewną znakomita pisarka europejska — i małżeństwo Kalergis. Nagle sala zamilkła: weszła Josephin Baker. Dwaj nafciarze, z których jeden zginął w dwa lata później jako doradca Amanullaha, zaczęli wykrzykiwać wesoło. Baker kiwnęła im głową i przeszumiała przez salę jak płomień celluloidowy, by zgasnąć w drugich drzwiach.

Wejście było efektowne i dobrze zrobione. Cała sala powiodła za nią wzrokiem. Może jedni Niemcy pozostali spokojni. Tym występem Josephina nietylko zyskała serce Bukaresztu, ale i odniosła w dodatku zwycięstwo mimowolne nad pewną Amerykaneczką, imieniem Ann, nazwiskiem Kay, która dotychczas niepokoiła tańcem dziarskich młodzieńców z „escorte regale", gwardji królewskiej... Ale nie o tem chcę mówić.

Niedaleko nas i baru, przy samotnym stoliku siedział jakiś starszy jegomość, ubrany wprawdzie z niezwykłą starannością i bogato, ale nieco oryginalnie. Białych getrów nie nosi się już od niepamiętnych czasów, a przedział i wysoki kołnierzyk, biała koszula i rodzaj wiązania krawatu żywo przypominały czasy Podfilipskiego, Edwarda VII, Cleo de Merode i Blériota, a perła w krawatce cesarzową Eugenję. Widocznie jegomość nie miał nic lepszego do roboty, bo cały czas patrzył na mnie tak uporczywie i natrętnie, że wkońcu zwróciło to moją uwagę. Z początku udawałem, że nie widzę, potem zaczęło mnie bawić, wkońcu miałem tego dość.

Przeprosiłem towarzyszy, zsunąłem się z wysokiego krzesełka i podszedłem wprost do jegomościa, by zapytać, czego sobie właściwie życzy?

Jegomość ani się nie zdumiał, ani też nie rozgniewał. Gdy byłem blisko, wyciągnął ku mnie rękę: „Pozwoli pan, że się przedstawię, nazywam się Mihael Stahevici". — W odpowiedzi bąknąłem chcąc nie chcąc moje nazwisko.

— Ach! pan Polak! Jakże miło! Niechże pan zechce spocząć na chwilę — dodał, wskazując krzesło.

Usiadłem. Przyszedł kelner.

— Co pan pije? prawda! Martini — paplał, nie pozwalając mi dojść do słowa. — Stale pan pija Martini? Podobno w Athenée jest najlepszy Martini świata. Proszę dwa Martini — zwrócił się do kelnera i zaraz ciągnął dalej: — Ja piję właściwie jedynie niemieszane trunki, ale ta dzisiejsza amerykanizacja!... Pan chyba niedawno w Bukareszcie, bo dopiero od tygodnia siaduje pan u nas...

Potaknąłem.

— Ja — mówił dalej — siedzę tutaj od piętnastu lat. Codziennie. Naturalnie, o ile nie wyjeżdżam. Od piętnastu lat! Od rewolucji rosyjskiej. Jestem Rosjaninem...

O ile lubię Rumunów, o tyle nie mam nabożeństwa do Rosjan. Przekonanie to — jak mówią wtajemniczeni — wyssałem z mlekiem matki. Moja matka nieznosi samej nazwy Rosji i Rosjan. Zawsze do dziś dnia nazywa emigrantów czy bolszewików poprostu Moskalami. Jeżeli ktoś mówi o wyższości literatury rosyjskiej nad polską — dostaje odrazu furji. Ja zresztą również. To też, jak usłyszałem „Rosjanin", nastroszyłem się odrazu.

Zobaczył to i uśmiechnął się:

— Oh! wiem doskonale, że na Rosjan moda dawno przeszła. Ale widzi pan: nie jestem emigrantem, oddawna przyjąłem obywatelstwo rumuńskie i nie będę panu opowiadał o moich dobrach na Uralu ani na Kaukazie. Nie byłem nigdy szambelanem cara i nie łączyły mnie żadne węzły krwi z wielkiemi księżniczkami. Sam też nie jestem księciem. Zresztą przed wojną mieszkałem w Bessarabji. Zrumunizowałem się zupełnie. Któż zresztą w tym pięknym kraju nie staje się odrazu Rumunem?

Odpowiedziałem mu na to kilkoma komplementami o Rumunji. Na wszelki wypadek. Zresztą nie potrzebowałem się załgiwać. W Rumunji było mi zawsze, jak w raju.

— Przedewszystkiem — dodał, pochylając głowę w ukłonie — pragnę się usprawiedliwić. Moje postępowanie zasługuje na naganę i jest natarczywe...

— Ależ! — próbowałem oponować.

— Niech pan nie przeczy. Patrzyłem na pana natrętnie i miał pan prawo zareagować. Uroczyście pana przepraszam... i niech będzie pan łaskaw przyjąć moje przeprosiny...

— Naturalnie...

— A na znak, że nie czuje pan do mnie urazy — proszę równocześnie o jedno poświęcenie... małej chwili czasu...

— Niestety — zacząłem stereotypowo.

— Ależ rozumiem, nie zaraz, nie teraz! Yvonne jest bardzo miła, a pański przyjaciel zachwycający. Nie można im sprawiać zawodu jedynie dla kaprysu dziwacznego starca...

— Panie...

— Ale o ile mi wiadomo Yvonne jest zaproszona przez Włochów, a Grigoriu może zwolnić pana na jeden wieczór. Serdecznie raz jeszcze proszę — niech pan nie odmówi — bardzo proszę, o wypicie ze mną jednego choćby kieliszka wina w „Leu Incarnat"...

Nie mogłem odmówić. Prośba była podana w takiej formie, że odmowa graniczyłaby z obrazą. Przyrzekłem więc, że przyjdę...

Pożegnał mnie ze słowami — a więc o dziewiątej.

Powróciłem do baru i zapytałem Grigoriu, kto to taki? Roześmiał się: ach! „nebun!"... Zrozumiałem to dosłownie. „nebun" znaczy warjat. Grigoriu uspokoił mnie: Stahevici jest hrabią i jest wszędzie przyjmowany. Ma dużo pieniędzy, piękny majątek, piękne auto, ale nie ma przyjaciółki. W oczach Rumuna — najoczywistsze warjactwo.

Gdy nadszedł czas pojechałem na przedmieście, gdzie był ów „Leu Incarnat". Znalazłem się w czarującym ogródku. Na wstępie olbrzymi bufet zastawiony mięsiwem i przekąskami. Dalej między krzakami kwitnącej czeremchy — stoliki. Schowana w gaju oleandrowo-akacjowym grała cygańska orkiestra. Stahevici (będziemy go dla łatwości wymowy nazywali Stachewiczem) czekał przy bufecie. Stół był już przygotowany. Menu — zamówione. Po wymianie grzeczności zaczęliśmy od tradycyjnej tsujki „cu masline" — wódki z oliwkami. Potem szły rozmaite wymyślne a nieznane mi potrawy. Koło każdego z nas stała olbrzymia cynowa balja, pełna lodu z butelkami wina i wody sodowej. Było mi ciepło i przyjemnie, ogarnęła mnie owa, tak niebezpieczna beztroska i wesołość, chęć użycia, zabawy, towarzystwa roześmianej gromady ludzkiej, jaka ogarnia każdego cudzoziemca w Rumunji. Zresztą wino czerwone! Słusznie mawiają mnisi z pod Jass: wino białe dobre dla kobiet, gdy chcą stracić głowę, ale winem mężczyzny jest czerwone, które zamienia się w krew. Mężczyzna powinien mieć zawsze głowę jasną — a krew gorącą...

Do deseru trwały pogwarki o tem i owem. O kongresie, o Baker, a Balbie, o ostatnim konkursie piękności i o małej Kay. Potem o aktorkach, cieszących się łaską najwyżej postawionych osób i o osobach wysoko postawionych i ich rozlicznych kłopotach rodzinnych. Jednem słowem była to typowa rozmowa bukareszteńska, raczej dowcipna niż interesująca, raczej pełna plotek niż wiadomości. Ale nagle Stachewicz trącił się kieliszkiem i spoważniał.

— Jeszcze raz powtarzam, że jestem winien panu usprawiedliwienie... — rozpoczął.

— Ależ niema o czem mówić! — zapewniłem go gorąco.

— A jednak — upierał się staruszek — musi pan mnie wysłuchać. Zresztą może to pana zaciekawi. Jest pan przecież władcą pióra!

Poprzednio wygadałem się, że literatura jest moim drugim zawodem... Przeklinałem jednak tę chwilę... Teraz napewno zacznie bajać:

— Proszę, słucham — powiedziałem jak najuprzejmiej, ale mimo woli nie brzmiało to uprzejmie... Toteż dał mi nauczkę.

— Wy Polacy jesteście zawsze niecierpliwi — powiedział. — Nieraz już płaciliście gorzko za waszą niecierpliwość. Musi pan zdobyć się na małą chwilę cierpliwości. Wiele się jednak wyjaśni...

Ukłoniłem się... Znów nalano nam wina.

— Jestem Rosjaninem, ale o polskim nazwisku. Podobno moi przodkowie przywędrowali do Rosji z Maryną Mniszchówną, tak przynajmniej twierdzi nasza legenda rodzinna, ale mniejsza o to...

Jako chłopak mieszkałem w Moskwie i tam studjowałem. A od młodości cierpiałem na pewną manję: głód ludzkich twarzy. Nigdy nie mogłem im się napatrzeć dowoli. Twarz ludzka — to zasłona prawdy, jej kształt i forma pozwalają oglądać przypuszczalne ukryte pod nią inne kształty. Toteż patrząc na ludzi i ich twarze, usiłowałem dotrzeć do spraw ukrytych za oczyma, za zmarszczkami koło oczu, za dołkami koło ust, za kształtem warg, owalem oblicza i kolorem cery. Cieszyło mnie niezmiernie, że po pewnym czasie odnalazłem reguły mej zabawy. Niektóre rysy twarzy odpowiadały nieomylnie pewnym cechom charakteru. Nie było to czemś nadzwyczajnem, gdyż wielu ludzi zajmuje się fizjonomistyką, ale najbardziej interesowały mnie twarze młodych. I to też nie było czemś nadzwyczajnem, gdyby nie sposób w jaki zainteresowałem się niemi. Młodym twarzom narzucałem w wyobraźni twarze stare i zużyte wiekiem. Doszukiwałem się w nich tych zmian, jakie lata życia przyniosą. Była to niebezpieczna zabawa — zabawa w zniszczenie. Na każdej, choćby najpiękniejszej kobiecie ryła moja chora wyobraźnia bruzdy i zmarszczki, kształtowała deformacje, ścierała kwitnące rumieńce, a w ich miejsce na porowatem mdło żółtem tle malowała plamy wątrobiane lub owe ceglaste barwy, które są nieomylną oznaką choroby. Odrywałem wzrokiem z każdej czaszki włos po włosku, lub pozwalałem rosnąć grubym siwym kępom na brodzie, na nosie, koło uszu. Fałdowałem skórę na szyi i wyciągałem ją w długie worki pod oczyma, ściągałem wargi i zmieniałem ich kolor z czerwonego na trupio-fioletowy, gasiłem blask oczu, a oczy wduszałem do głębokich oczodołów. I nie spocząłem, dopóki każdy młody nie zmienił się w przerażającego starucha, ruinę czekającą na ostateczne zniszczenie — śmierć.

Doszło wreszcie do tego, że każda twarz, na którą spojrzałem odrazu zmieniała się, zupełnie bez wysiłku z mej strony, w twarz starą. Następowała jakby nagła zmiana maski: z za jednego oblicza wychylało się drugie, lecz we mnie owa zabawa zmieniła się zczasem w nieuleczalną namiętność.

Początkowo stawiałem sobie rozmaite zadania: w teatrze, na koncertach, w czasie przedstawień cyrkowych wyszukiwałem sobie zawsze ofiarę mej namiętności. Gdy spojrzałem, odrazu z za młodzieńczych rysów przeglądało „prawdziwe“ oblicze. Analizowałem je, by potem wyszukując, czasem z niesłychanym trudem, rodziców analizowanego, doszukiwać się cech podobieństwa i dorwać się tej reguły, która pozwalałaby mi nieomylnie wyrokować: jak i dlaczego ludzie się starzeją. Jednak tutaj pośliznęła mi się noga: nie było prawie nigdy podobieństwa między przyszłą a teraźniejszą starością, między dzieckiem a rodzicami. Poznałem więc, że jestem na fałszywym tropie.

Starość — to rzecz bardzo osobista. Każdy ma takie oblicze swej starości — na jakie zasługuje. Rzeźbi je swem życiem czy nadużyciem, rozwojem charakteru, pasjami, nawykami, grzechami i cnotami. Teraz dopiero mogłem ustalić reguły starzenia się ludzi. I tak naprzykład ta zmarszczka na brodzie... ale to pana będzie nudzić... Więc, cóż mówiłem? Acha! Każdy człowiek jest własnym pamiętnikiem, napisanym na jego twarzy. Jeżeli pan zechce mnie bliżej poznać, to zauważy, że równie szybko staję się przyjacielem jednych, jak i robię afronty drugim. Dlaczego? Bo dzięki mej namiętności — za dużo wiem... Dopiero zrozumiałem, jakie męki muszą cierpieć spowiednicy, spotykając się ze swoimi klientami. Im nie wolno zareagować po ludzku. Muszą być aniołami... Ale ja nie mogę wytrzymać, gdy widzę przyszłe łajdactwa. Żeby pan wiedział, ile na świecie brudu, kłamstwa, ile grzechów! Jest ich napewno dziesięć razy więcej, niż siedem głównych...

— Czy widział pan moją twarz, jakby to rzec „prawdziwą“? — przerwałem Stachewiczowi.

— Twarz pana? — odpowiedział. — Ależ naturalnie! Ale o niej nic panu nie powiem. Myśląc o swych złych, czy dobrych stronach wpadamy zbyt łatwo w rozpacz, albo w melancholję. Mogę tylko jedno powiedzieć: pan jeszcze pożyje.

— Dziękuję za dobrą wiadomość — powiedziałem trochę rozczarowany i nie bez ironji.

— Niech pan nie ironizuje! — wykrzyknął Stachewicz! Prawie nigdy się nie mylę! Wszystkie moje twarze dzielę na dwie grupy: na twarze „typowe“, które ubierają się pod mym wzrokiem bez oporu w swą przyszłą starość i twarze „oporne“. Te znowu zdradzają swą tajemnicę niechętnie, z trudnością, lub nawet — wcale nie. Jakże się męczyłem!

Przypadek zdradził mi wreszcie tajemnicę mych cierpień. Bo to były cierpienia, proszę pana! Do twarzy opornych należała naprzykład twarz mego starszego brata i twarz jego narzeczonej. Wpatrywałem się w nich oboje — ale to nic nie pomagało. Uparcie byli młodzi. „Jakżeż to być może?“ — pytałem samego siebie. — Dlaczego tych dwoje opiera się zawsze twej woli?!... I znów zamykałem oczy i usiłowałem wyobrazić sobie „to“ — ich starość. Aż raz, gdy znów skupiłem całą wyobraźnię i przywołałem na pomoc całą wolę, zobaczyłem wreszcie ich twarze, jakby zmienione. Oboje leżeli obok siebie, mieli oczy zamknięte, a twarze... twarze... były zielone i opuchnięte! Ale w dalszym ciągu byli przecież młodzi. Nie rozumiałem... Miałem jednak wkrótce zrozumieć. W kilka dni po mojej wizji utonęli podczas przejażdżki łódką.

Zrobiło to na mnie straszne wrażenie. Mój i tak przeczulony organizm zareagował zbyt silnie. Dostałem zapalenia opon mózgowych i leżałem długie tygodnie bez czucia. Po wyleczeniu — popadłem w melancholję. Osiadłem na wsi, otoczyłem się sympatyczną służbą, którą wybrałem według swej metody i postanowiłem życie skończyć w samotności...

Ale los zrządził inaczej. Pewnego dnia wpadł mi do głowy niebezpieczny pomysł. Postanowiłem zobaczyć własną twarz. Popatrzyłem w lustro: nic. Pozostałem młodym. „A więc umrę jak Zofja i Aleksy“ — pomyślałem z ulgą. Choć miałem wtedy zaledwie 25 lat, jednak życie było dla mnie ciężarem. Wkrótce też musiałem wyjechać za interesami do Paryża. I żyłem... i żyję do dziś. Domyśliłem się: nikt nie potrafi prorokować dla siebie. Mam dziś siedemdziesiąt lat...

— Ależ niemożliwe! — zaprotestowałem, wiedząc że starsi panowie lubią takie protesty.

— Tak, drogi przyjacielu — siedemdziesiąt lat! Ale a propos wieku, czy pan wie, że pański przyjaciel Grigoriu ma twarz „oporną“? Pan mu to powie? W ogledny sposób? Dobrze?...

— Doprawdy niewiem... — zacząłem...

— Naturalnie jeśli pan będzie chciał... — dodał Stachewicz — nikt pana nie zmusza. Nikt też pana nie zmusza do wiary w historje, które panu opowiadam. Może je pan sklasyfikować jako brednie podpitego staruszka. Ale po tem wszystkiem, co panu powiedziałem, nie będzie pan miał żalu za natarczywość wieczorną... To namiętność — to patrzenie... namiętność jak każda inna. I — niech mi pan wierzy! — nie bardzo przyjemna! Właściwie spędzam moje życie pomiędzy starcami. Trudno odłączyć złudę twarzy od twarzy prawdziwej. A prawdziwą twarzą — jest tylko twarz starcza. — Tak! mam swoje kaprysy! Rumuni nazywają mnie „nebun“. Czy nie tak?

— Roześmiałem się...

— Widzi pan, że mam rację. „Nebun“ — to warjat, narwaniec, matoł. Ciekawe to, że „nebun“ tłumaczy się właściwie „nie dobry“. Może i słusznie... No, ale teraz pijmy dalej.

Z wprawą prawdziwego światowca przerzucił się odrazu na inny temat. Zaczął mówić o kobietach. Mężczyźni tutejsi mówią właściwie tylko o kobietach, podobnie jak tutejsze kobiety o mężczyznach. A złe mniemanie o Rumunach, to znowu dowód przerażającej płycizny i niezrozumienia tego tak ciekawego narodu. Oni są inni niż tamci, nie jak tamci szablonowi!

Już było dobrze nad ranem, gdy Stachewicz odwiózł mnie do hotelu. Na drugi dzień zapomniałem o nim, o twarzach, o całym galimatjasie psychologicznym i naturalnie nie powiedziałem Grigoriu ani słowa.

Stachewicza spotkałem niespodziewanie w dwa miesiące później na dworcu w Braszowie. Właśnie wracałem do Bukaresztu. Poznałem go odrazu. Starodawny kołnierzyk, krawatka, koszula, białe getry, obcisłe ubranko „do figury“, monokl w oku: oto on. Zupełnie tak samo, jak owego wieczoru w Athenée Palace i napewno tak samo, jak na reunionie u księżnej d'Abrantès w roku Pańskim 1912-tym.

Miejsca mieliśmy obok siebie. Siedząc w pullmanie na szerokich, błękitną skórą krytych fotelach klubowych, zaczęliśmy znowu jedną z tych nic nieznaczących rozmów, którą wiodą ludzie skazani na wieczną wędrówkę, spotykając się od czasu do czasu na niespodziewanem skrzyżowaniu dróg.

Młody i przystojny konduktor poprosił o bilety. Podałem go mu. Zkolei wyciągnął rękę po bilet mojego towarzysza, lecz ten zbladł, cofnął się i zamknął oczy. Skoczyłem na równe nogi. Ale staruszek opanował się odrazu. Podał swój bilet, uśmiechnął się do konduktora i schował do kieszeni.

Kiedy konduktor odszedł, zapytałem czy się źle czuje i czy nie mogę mu być w czemś pomocny?

— Nie!... nie!... odpowiedział prędko — ale to straszne! Wie pan, że ten chłopak ma też twarz oporną? Ale jaką! I widzę na nim czerwoną kresę przez policzek. Oh, ta kresa!... Straszne, straszne...

Aż do Sinaja nie mógł się uspokoić. Wkrótce stanęliśmy w tej miejscowości. Ruch na dworcu był bardzo duży, bo sezon w pełni, a król bawił na zamku w Pelesoi. Parę osób wsiadło, pociąg ruszył.

Prawie równocześnie usłyszałem przerażający krzyk, potem znowu inne wrzaski. Zerwałem się i zaraz upadłem, bo rzuciło mną o ścianę, tak nagle zahamowano. Otworzyłem okno. Ludzie biegli w kierunku naszego wagonu i zaraz zaczęli wyciągać z pod kół pociągu coś okropnego. Nagle w tym strzępie ludzkiego ciała, leżącego bez ruchu poznałem — naszego konduktora. Ze straszliwej rany na głowie lała się krew i ściekała na żwir toru.

Popatrzyłem na Stachewicza. Był zupełnie spokojny. Otworzył numer „Vie Parisienne“ i przeglądał obrazki. Ogarnęło mnie nagle obrzydzenie i wstręt, najchętniej udusiłbym go. Nie rozumiem — dlaczego? — Przecież nie był winien. Ciągle jednak jakby z drugiej strony mózgu wracało podświadome przekonanie, że gdyby mi nie powiedział — to przecież konduktor... ach! nonsens...

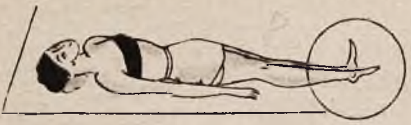
Aż do Bukaresztu milczeliśmy obydwaj. W Bukareszcie pożegnaliśmy się chłodno. Więcej Stachewicza nie widziałem.

Wkrótce po moim przyjeździe zawiadomiono mnie telegraficznie o zgonie Grigoriu. Zginął śmiercią lotnika.


zdrowe
śniadanie
Naturalna odżywka
zawierająca czynne witaminy
OVOMALTINE
Sposób użycia:
Na ciepło: 2–4 łyżeczek kawowych
cukru mączki.
Ovomaltine

10 minut

gimnastyki porannej



1



2



3



4



5



6



7

1. Wyciąganie stóp w pozycji leżącej z ramionami wzdłuż ciała.

2. Wyciąganie stóp w pozycji leżącej z ramionami splecionemi nad głową.

3. Ćwiczenie mięśni szyji bez poruszania ramionami.

4. Podnoszenie stopy rękoma bez zginania kolan.

5. Wyciąganie ramion w pozycji klęczącej z cofnięciem tułowia wstecz.

6. Skłony wprzód z układaniem dłoni na podłodze.

7. Przysiad z oparciem palców nóg na niewielkiem podwyższeniu.

Pośród wielu ćwiczeń gimnastycznych, szczególniejsze znaczenie przypisać należy tym, które dopomagają do wyprostowywania mięśni, w przeciwstawieniu do normalnych ich czynności życiowych, które obracają się raczej wokoło ruchów skurcznych. Dla uzyskania harmonijnego rozwoju wszystkich mięśni, ćwiczenia takie są bardzo wskazane, zwłaszcza dla pań niższego wzrostu i bardziej korpulentnych. — Przy pomocy tych ćwiczeń można bowiem uzyskać smuklejszą sylwetkę, jak też wyrównać pewne braki wzrostu.

Defekty, wynikające z omawianych przyczyn, widzimy często w grupie mięśni uda i podudzia, zwiększone w dodatku przez stałe noszenie obuwia na wysokich obcasach, co nie pozwala mięśniom rozprostować się do ich naturalnej długości i skazuje je na stałe, choć drobne „przykurczanie". Ćwiczenia, które pobudzą mięśnie do wyprostowywania się i wydłużenia, będą doskonałem antidotum na zastarzałe nieraz wady, odbijające się fatalnie na smukłości sylwetki.

Ćwiczenie 1: Rano leżąc jeszcze w łóżku, wyciągamy nogi w całej długości, unosząc pięty w górę i starając się dosięgnąć wielkim palcem jaknajdalej.

Ćwiczenie 2: To samo ćwiczenie wykonujemy przy zmienionej pozycji rąk, które zamiast ułożyć wzdłuż ciała, splatamy nad głową.

Ćwiczenie 3: Leżąc w pozycji wyprostowanej, obracamy głowę ku poduszce, dotykając jej brodą, w prawo i w lewo, przyczem nie wolno poruszać ramionami.

Ćwiczenie 4: Siedząc na ziemi, pochylamy się, aby objąć dłońmi stopę, bez unoszenia jej w górę; następnie obejmujemy dłońmi nogę w kostce i podnosimy ją do góry, bez zginania w kolanie.

Ćwiczenie 5: Klęcząc na łóżku, pochylamy się silnie wprzód, wyciągając przed siebie ramiona możliwie jak najdalej, cofając cały ciężar ciała w przeciwną stronę z równoczesnem zgięciem kolan.

Ćwiczenie 6: Stojąc boso pochylamy się wprzód tak silnie, aby oprzeć palce rąk o podłogę, a nawet położyć na niej dłonie. Jeżeli to nie udaje się, bez równoczesnego przygięcia nóg w kolanach, trzeba powoli rozprostowywać kolana, każdego dnia więcej, aż wreszcie nic nie stanie na przeszkodzie w dokładnem wykonaniu ćwiczenia, co będzie dowodem, że mięśnie łydek i uda osiągnęły już swą elastyczność i zdolność całkowitego wydłużenia się.

Ćwiczenie 7: Stanąwszy prosto, oprzeć palce nóg na książce lub klocku drewnianym i z tej pozycji próbować przysiady z wyciągniętemi wprzód ramionami. Ćwiczenie to powoduje silne wyciąganie się tylnych mięśni nóg, przyczyniając się do wyszczuplenia bioder.

Ćwiczenie 8: Skłon wstecz z przygięciem nóg w kolanach, raz na prawo, raz na lewo z ramionami wyciągniętemi w bok. Powtarzamy je 3 razy w każdą stronę.

Ćwiczenie 9: Siedząc na podłodze z rękoma wyciągniętemi nieco skośnie ku górze, pochylamy się wprzód, uważając na silne wyprężenie kręgosłupa. Powtarzamy skłon i wyprost 10 razy.

Na zakończenie stajemy w pozycji wyprostowanej, aby wykonać kilka głębokich wdechów i wydechów. **Vera.**



Powyżej: Skłon tułowia w bok ku tyłowi ze zgięciem kolan.



Na lewo: Skłon tułowia w przód z pozycji siedzącej.

Życie
towarzyskie i artystyczne

„WIELKI KIERMASZ W WARSZAWIE"





Pod protektoratem Pani Marszałkowej Aleksandry Piłsudskiej odbył się w sali obrad Ratusza warszawskiego, zorganizowany przez Towarzystwo „Nasz Dom" „Wielki kiermasz", który wzbudził w najszerszych sferach społeczeństwa wielkie zainteresowanie. Liczne stoiska o bardzo ciekawych artystycznych wyrobach patronowane były przez panie z dyplomacji. „Wielki kiermasz" zwiedziła Pani Marszałkowa Piłsudska, którą widzimy na zdjęciu (na lewo) i Pani Prezydentowa Mościcka, którą, opuszczającą kiermasz w towarzystwie p. ministrowej Bobkowskiej, utrwalił objektyw fotograficzny (na prawo) Fot. „As".

POGODZENIE SIĘ ARTYSTÓW



Urocza para artystów filmowych Errol Flynn i Lili Damita spotkali się ostatnio po długiem niewidzeniu w Glendale, w Kalifornji. Przez dłuższy czas mówiono, że małżonkowie rozeszli się nazawsze i zamierzają rozpocząć kroki rozwodowe. Jak się okazuje i jak to wyraża uśmiech obojga, para artystów pogodziła się i zamierza w dalszym ciągu wspólnie pracować w filmie

Fot. Wide World. Londyn.

Z TEATRU KAMERALNEGO



Warszawski Teatr Kameralny rozpoczął nowy rok udaną farsą Karola Laufsa „Dom warjatów". Sztukę wyreżyserował pomysłowo Emil Chaberski, nadając jej odpowiednie tempo i lekkość. Zespół wywiązał się bez zarzutu ze swego zadania: Pp. Anna Różańska, Relewicz-Ziembińska, L. Brodziński, St. Kwaskowski, St. Sielański byli w swoich rolach bez zarzutu. Na naszem zdjęciu widzimy p. Relewicz-Ziembińską i Leopolda Brodzińskiego w jednej ze scen sztuki. Fot. Forbert. Warszawa.

NOWE SUKCESY IRENY BOROWSKIEJ



Irena Borowska należy do tych artystek, które z rzetelnym talentem łączą niezwykłą urodę, nie więc dziwnego, że publiczność darzy ją szczerą sympatją, a krytyka, czasem sroga i nie uznająca urody jako atutu scenicznego, kapituluje, przyznając artystce prawdziwe walory artystyczne. Borowska odtwarzała dotychczas role dramatyczno - liryczne, przyczem świetne były jej kreacje jako Viola, Jessyka, Kora itd. Ostatnio dała się poznać w roli charakterystyczno-komicznej w sztuce Gwojdzińskiego „Temperamenty" w Teatrze Małym, zdobywając pełne uznanie krytyki.

Fot. Van Dyck. Warszawa.

Dwudziesty wiek nie sprzyja życiu domowemu — to prawda! Interesy, praca zawodowa, zainteresowania społeczne i polityczne, życie klubowe, odczyty, koncerty, teatr, kawiarnia i nocny lokal odciągają dziś od niego nietylko mężczyzn, ale w równej mierze kobiety. Ale w społeczeństwach naprawdę kulturalnych, w których nowoczesność nie polegała na bezmyślnem zrywaniu z wszelką tradycją, lecz na jej ewolucji w nowem ujęciu i zastosowaniu do teraźniejszości — kult domu i przywiązanie do niego daje się mimo wszystko zauważyć i to w wysokim stopniu. Może właśnie dlatego, że warunki życia i jego tempo nie pozwala spędzać wiele czasu w domu, dom ten stał się czemś specjalnie miłem i cennem: odprężeniem w zacisznej jego atmosferze, odgrodzeniem się jego ramami od męczącego świata zewnętrznego. Jest to wszak jedyne miejsce, gdzie możemy być naprawdę sobą, gdzie otaczają nas przedmioty dostosowane do naszych upodobań i zamiłowań, gdzie czujemy się bez reszty swobodni i niekrępowani.



Oto nieco egzotyczny strój poranny, przypominający habit zakonnicy, z wystawy w londyńskim „Claridge Hotel".

U nas w kraju, t. zw. kultura mieszkaniowa stoi niestety na dosyć niskim poziomie: może z powodu niskiej naogół stopy zamożności, może także i dlatego, że domy nasze tylekroć padały ofiarą wojennych zniszczeń, odróżnieniu np. od takiej Anglji, gdzie dorobek pokoleń zachować się mógł przez wieki nietknięty. Sądzę, że jest w tem jednak i dużo naszej winy: brak zrozumienia dla nastrojowej, uczuciowej, a w pierwszym rzędzie estetycznej wartości odpowiednio urządzonego i utrzymanego „home'u". Wiele naszych pań nie zdaje sobie sprawy, że o poziomie kulturalnym więcej świadczy nasze życie codzienne i jego ramy, a więc nasz dom, niż ilość tualet, któremi olśniewamy w lokalach i na ulicy. Nie przyjęły one prawdziwie „zachodniej" zasady, że w najskromniejszym budżecie (oczywiście powyżej pewnego koniecznego do życia minimum!) powinna się znaleźć rubryka „dom", pod którą rozumieć mamy nietylko jedzenie i opał, lecz zarówno utrzymanie i ozdabianie mieszkania.

Negliże
PIĘKNEJ PANI

RANO:
ciepły i praktyczny poranny szlafroczek z wełny angorowej, ozdobiony kamizelką i kieszeniami w czerwone pasy.

POPOŁUDNIU:
przyjmując kilka przyjaciółek na popołudniowej herbatce włożymy tea-gown z czarnej matowej krepy z bolerkiem z aksamitu „transparent".

WIECZÓR:
strojna wieczorowa suknia domowa z tafty, ozdobiona przy szyi i u rękawów sutemi riuszami z koronki lub z tiulu. Rys. Ewa Leo.







Z zasady tej wypływa automatycznie inna zasada: że w garderobie każdej kulturalnej kobiety powinien zająć odpowiednie miejsce strój domowy równie staranny i elegancki, jak ten, który nosimy poza domem. Kobieta, nawet najlepiej ubrana, jeśli zaniedbuje swój wygląd i strój w domu, nie może być uważana za prawdziwie elegancką.



Zwolenniczki może nieco egzotycznych pidżam wybiorą ten oryginalny model składający się z czarnych atłasowych spodni i efektownego kaftana z wzorzystej barwnej lamy.

Najstaranniejszy nawet strój domowy można dostosować do każdych warunków finansowych, do każdego budżetu. Jeśli nie stać nas na aksamity i lamy, zadowolimy się ładną wełną, czy niedrogim jedwabiem krajowym. Jeśli zajęcia nasze w domu są przeważnie natury gospodarskiej, nie będziemy stroić się w niepraktyczne, powiewne szlafroki, lecz wybierzemy fason skromniejszy i wygodny, dostosowany do domowych zajęć.

Na prawo: Piękny poranny penjuar z kolorowej gazy w desań kwiatowy nosi urocza artystka filmowa Dorothy Lamour.



Nowoczesne pojęcie elegancji polega nietyle na strojności i kosztowności naszego ubioru, lecz na jego dokładnem dostosowaniu do pory dnia, otoczenia, okoliczności i nastroju. Napozór nieuchwytne nuanse grają w niem ogromną rolę. Dlatego też i strój domowy jest skomplikowanym problemem tualetowym i ogólna jego nazwa obejmuje wiele odrębnych odmian.

Podzielić go można, ogólnie biorac, na trzy kategorje, dostosowane do pory dnia strój poranny, popołudniowy i wieczorowy.

D o m o w y s t r ó j p o r a n n y służy nam jako negliż po wstaniu z łóżka, przy porannej tualecie, przy śniadaniu, wydawaniu dyspozycyj i t. zw. „gospodarowaniu". Dlatego powinien być przedewszystkiem praktyczny i wygodny. Najstosowniejsze są więc szlafroki z rękawami i kieszeniami, o prostym, płaszczowym kroju, lub też pidżamy z lekkiej wełny lub welwetu. Szlafroki takie mogą być jednobarwne, w jasnym pastelowym kolorze, lub też z wełny w szkocką szykowną kratę lub ładnie stonowane pasy. Dla pań lubiących ciepło, wskazane będą szlafroczki z puszystej angory, lub też z podwójnego jedwabiu, z przepikowaną w środku wataliną.

Jeśli należymy do tych nielicznych wybranek losu, które zupełnie domem nie potrzebują się zajmować, a ranne godziny poświęcają wyłącznie tualecie, lekturze i — próżnowaniu, możemy nosić negliże strojne i powiewne, ozdobione koronkami, gufrowanemi riuszami, wstążkami itp.

P o p o ł u d n i o w y s t r ó j d o m o w y zbliża się bardziej swym charakterem do sukni lub kroju płaszcza wieczorowego: jest długi, przeważnie wcięty w pasie, a rozchodzący się silnie kloszowo u dołu. Czasem jest to luźna suknia, uzupełniona odmiennej barwy bolerkiem, czasem obcisła tunika, rozcięta do kolan dołem, a zapięta z przodu pod szyję zamkiem błyskawicznym. Jako materjały nadają się na ten cel najlepiej piękne wełny kaszmirowe, krawatowy jedwab, lśniące sukienko, angielska flanela lub welwet. Przybrania są naogół skromne: ozdobne guziki, barwny, haftowany pasek lub szarfa, jedwabna frendzla, obszycie w kontrastującym kolorze, dyskretny haft jedwabiem lub sutaszem.

W i e c z o r o w y s t r ó j d o m o w y różni się niewiele od wieczorowej sukni: używamy go do spędzenia wieczoru w domu w gronie rodziny lub bliskich przyjaciół. Może być bardzo strojny, choć w ogólnym wyrazie powinien zachować charakter pewnej prostej linji: nie nadużywać falbanek, lśniących ozdób, zbyt wielkich dekoltów itd. Największą jego ozdobą jest piękna linja i materjał: miękki jedwabny aksamit, matowa krepa, crêpe satin, brokat lub tafta. W fasonach można pozwolić sobie na najróżniejsze fantazje, zależne od naszej pomysłowości i gustu.

Lady Like.

P R Z E P I S Y

odnoszące się do naszego kalendarzyka obliczone na 3—4 osoby.

PRZYSTAWKI. 1) Odpowiednią ilość jaj gotuje się na twardo i ostudza w zimnej wodzie. Po obraniu ze skorupek kraje się jaja na połówki, posypuje bułeczką i szybko osmaża na wrzącem maśle. Jaja podaje się ułożone na listkach zielonej sałaty, lub też jako garnitur duszonych grzybków (z Wecka) albo szpinaku.

2) Z grubej podłużnej bułki, tzw. reki, wykrawuje się talarki na palec grube i wybiera z każdej trochę ośrodki, tak, aby się utworzyło zagłębienie, następnie osmaża się bułki na maśle. Do powstałych w ten sposób grzanek nakłada się w zagłębienia łyżkę siekanej szynki lub uduszonego na cebulce móżdżku albo mleczka cielęcego, wybija na nie po małem jajku, posypuje solą i parmezanem, następnie wstawia na 5 minut do gorącego piecyka.

3) Mleczka, wątróbki oraz ikry ryb gotuje się na smaku z jarzyn przez pół godziny, następnie sieka drobno. Utartą na tarle małą cebulkę, smaży się na łyżce masła, dodaje łyżkę mąki, smaży przez chwilkę, poczem zalewa paru łyżkami ostudzonego smaku z ryb i łyżką gęstej śmietany, dodaje posiekane mleczko rybne, zagotowuje na gęstą masę, którą się miesza z rozkłuconem jajem a po skontrolowaniu czy dość słona, nakłada się ją na muszelki i posypuje białym pieprzem oraz smażoną bułeczką. Muszelki zapieczone przez kilka minut w piecyku podaje się szybko na gorąco.

ŁOSOŚ W MARYNACIE. Oczyszczoną, posoloną i odleżałą przez kilka godzin w soli rybę, obsusza się serwetą i kraje w dzwonka. Pokrajane ozdobnie jarzynki, jak marchew, pietruszkę i seler oraz cebulę pokrajaną w krążki gotuje się w 2 litrach wody. Po godzinie dolewa się szklankę winnego octu i kieliszek kwaśnego wina, sok z całej cytryny, dodaje parę listków bobkowych oraz innych lubianych w domu korzeni, wkłada pokrajaną rybę i gotuje powoli przez 30—40 minut, tj. tak długo, aż skóra ryby będzie miękka. Czas gotowania nie może być ściśle podany, gdyż zależy to od grubości ryby. Po ostudzeniu składa się rybę do słoja, zalewa smakiem wraz z dodatkami, zawiązuje i przechowuje w chłodnem a suchem pomieszczeniu. Powyższy sposób marynowania stosować można do każdej ryby, nawet morskiej, np. łosoś lub szczupak morski nadaje się dobrze do tego celu. Rybę morską należy pozbawić naprzód niemiłej nam woni, przez szybkie wymycie w kilku wodach, sparzenie wrzątkiem z kawałkiem węgla drzewnego i natarcie sokiem cytrynowym. Dla osób bardzo wrażliwych na woń ryby morskiej, radziłabym, po sparzeniu ryby obciągnąć ją ze skóry, która poza wszystkiem jest twarda i niesmaczna, następnie dopiero gotować rybę z jarzynami.

SALSEFIA LUB BULWY smażone w cieście są chętnie widziane obecnie, kiedy mamy jarzyn mały wybór. Salsefię oczyszczoną szybko, aby nie czerniała, gotuje się w osolonej wodzie przez 15—20 minut, ten czas gotowania zwykle wystarcza, o ile korzonki nie są bardzo grube. Lane ciasto, w którem salsefia ma być smażona, ubija się z jaja, dwóch łyżek mleka, łyżki masła, łyżki octu lub wina i takiej ilości mąki, aby ciasto było płynne. Po posoleniu i dokładnem ubiciu ciasta, macza się w niem obsuszone na serwecie, ugotowane korzonki i smaży na wrzącym, mieszanym tłuszczu. Radzę użycie mieszanego tłuszczu wogóle do smażenia dlatego, bo masło nie wytrzymuje tak wysokiej temperatury, jakiej do wysmażania potrzeba i szybciej się spali, zanim wykona swoje zadanie osmażenia potrawy na złoty kolor, jak tego wymagamy.

PĄCZKI udadzą się tylko wtedy, jeśli wszystkie dodatki oraz narzędzia, służące do ich sporządzania, będą ogrzane. „Zaziębione" ciasto nie nadaje się na pączki, choćby w niem była „kwarta żółtek" wedle przepisu p. Ćwierciakiewiczowej. Przesądem też jest kilkakrotne stawianie ciasta do rośnięcia. Ciasto na pączki należycie, tj. przynajmniej przez pół godziny wybijane, należy zaraz rozciągnąć na stolnicy i zaraz wykrawywać z niego krążki, napełniać suchą konfiturą, znów ostrym wykrawaczem wykroić, ułożyć na ogrzanej serwecie i postawić w cieple, gdzie powinny wyróść do podwójnej objętości. Na rozpalony, mieszany tłuszcz (wieprzowy z topionem masłem) rzuca się ciasto wierzchem na dół, przykrywa rondel pokrywą, smaży przez 3 minuty, odwraca łopatką (nigdy widelcem), smaży dalsze 3—4 minuty, wyjmuje i osypuje zaraz cukrem, póki gorące. Tłuszcz powinien sięgać do połowy wysokości naczynia, dlatego raczej należy wziąć mniejszy rondelek i smażyć po 3—4 pączki naraz, nie więcej. W ten sposób oszczędzi się tłuszczu. Ciasto na pączki musi być dobre, drożdżowe, z dowolną ilością dodatków. Oczywiście, większa ilość żółtek, śmietanka użyta w miejsce mleka, jakość mąki, dają w wyniku pączki lepsze i lżejsze. Podaję proporcje na dobre, tzn. „obywatelskie" pączki: 50 dkg mąki, 4 żółtka, 10 dkg masła roztopionego i odlanego z osadu, 4 dkg drożdży, łyżka cukru, łyżeczka soli i kieliszek rumu. Mleka wedle potrzeby.

Sc. Ko.

N O W O Ś C I

GOSPODARSTWA DOMOWEGO



Porządne mycie naczyń, talerzy itd. stanowi w gospodarstwie domowem ważne zajęcie, którego nie można zaniedbywać. Obok zamieszczona fotografja ukazuje nam szczoteczkę ruchomą, która spełnia daleko lepiej swoje zadanie jak zwykła, dostosowując się do załamań i nierówności talerza lub danego naczynia.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.



Święta rzym.-kat.	Tydzień 4 — **Styczeń** — Dni 31
Niedziela **22** Wincentego	Zupa pieczarkowa z płatkami. Przystawka z jaj na szpinaku. Bażant z kompotem. Pączki. Kolacja: Zimne mięsa z sałatką majonezową.
Poniedziałek **23** Zaślub. NPM.	Rosół z grzybkiem. Sztuka mięsa zapiekana w beszamelu. Pieczeń barania na dziko z makaronem. Kisiel żurawinowy. Kolacja: Rizotto na podróbkach z drobiu.
Wtorek **24** Tymoteusza b.	Barszcz na rosole z fasolką. Salsefia w cieście z sosem holenderskim. Kotlety pozarskie z marchewką. Legomina biszkoptowa z kremem. Kolacja: Kruszka smażone w bułeczce.
Środa **25** Nawr. św. Pawła	Zupa cytrynowa z ryżem. Móżdżek zasmażony. Mostek cielęcy z buraczkami. Buchtle z konfiturami. Kolacja: Kotlety z pieczonego mostka cielęcego.
Czwartek **26** Pauliny	Rosół "Julienne". Budyń jarzynowy. Kura z rosołu z kompotem. Strudel z serem. Kolacja: Krokietki z mięsa rosołowego.
Piątek **27** Jana Złotoust.	Zupa z porów z grzankami. Kotlety ziemniaczane z grzybowym sosem. Szczupak morski w sardelowym sosie z ryżem. Pierożki z powidłami. Kolacja: Marynowany łosoś.
Sobota **28** Karola W.	Zupa perłówkowa na grzybach. Ruskie pierożki. Paprykarz z kluseczkami. Kompot mieszany. Kolacja: Wątróbka po wiedeńsku.



HOCKI-KLOCKI

„UCZCIWY" KASJER.



— Znudziła mi się służba w banku i zrezygnowałem z posady kasjera, zabierając tylko drobną pamiątkę... „Esquire".

TO JĄ TŁUMACZY...



Pani domu do przyjaciółki: — Jak widzisz, znowu pokojówka całuje się z moim mężem. Dawnobym ją wyrzuciła, gdyby nie była tak posłuszną dziewczyną... „Esquire".

Rozwiązanie z Nru 3-go.

BANK „PUSTYCH KAS".

Do Banku „Pustych kas" dokonał włamania Szczur.

WAKACJE.

Pan Macierzanka udał się do Fiołka. P. Chaber, zam. w Macierzance, udał się do Bławatka; p. Bławatek, zam. w Chabrze, udał się do Róży; pan Fiołek udał się do Chabra, a p. Róża do Macierzanki.

Zadanie nie pozwala rozstrzygnąć, czy p. Macierzanka mieszkał w Róży czy w Bławatku.

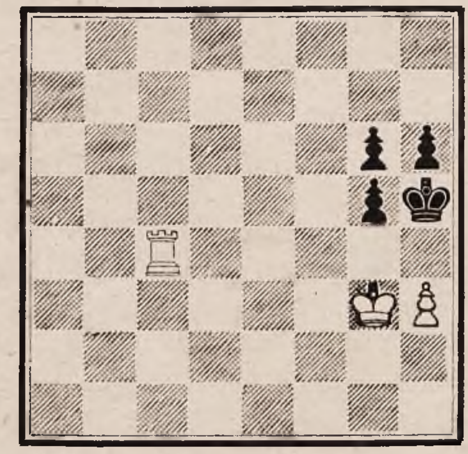
CYKLIŚCI.

Staś przyjechał pierwszy do Wólki, w $4\frac{1}{2}$ minuty po opuszczeniu Kaczej.

JEZIORO.

Średnica jeziora wynosi $6\frac{1}{2}$ km.

ZADANIE SZACHOWE.
(autor nieznany).



Mat w 4 posunięciach.

Jest to jedno z najpiękniejszych zadań przy tak małej ilości figur (3+4=7): białe: król g3, wieża c4, pionek h3; czarne: król h5, piony g5, g6, h6.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

PODRÓŻE PRZYJACIÓŁ.

Nasi znajomi, Staś, Henryk, Karol i Zygmunt, nie przychodzili do klubu przez miesiąc, aż wreszcie pewnego wieczoru pojawili się równocześnie. Henryk zaczął opowiadać jaką ładną podróż odbył, ale Karol przerwał mu — i pozostali przyjaciele także chcieli zabrać głos. Ten ma pierwszeństwo, kto najdalej zajechał — rozstrzygnął Staś — a ja bądź co bądź siedziałem w pociągu 66 godzin (w obie strony) i wiem, że kartka, którą otrzymałem od Henryka, była wysłana z miejscowości leżącej 3 razy bliżej Krakowa.

— No tak, ale ja udałem się potem jeszcze do miasta, leżącego 275 km dalej — zauważył Henryk.

— Karol i Zygmunt porozumieli się ze sobą i oświadczyli, że przebyli razem tyleż drogi, co Henryk ze Stasiem, przyczem Karol był nad morzem. Obaj otrzymali listy, opłacane znaczkami po 15 groszy.

Kto zajechał najdalej i gdzie byli Karol z Zygmuntem? Szybkość pociągu równała się 50 km/g.

SPACER PANA WRÓBLA.

— Dzisiaj miałem śliczny spacer — rzekł pan Wróbel do żony. — Zrobiłem 10 km od stacji w 1 g. 30 m. Część drogi szedłem piechotą, a część drogi biegłem. Szedłem ze stałą szybkością $4\frac{1}{2}$ km/g, a biegłem mniejwięcej dwa razy szybciej niż szedłem.

Ile km przeszedł pan Wróbel?

MARMURY.

— Na półce w moim pokoju — rzekł dr Geocent do asystenta — znajdują się próbki marmurów trzech kolorów. 12 czarnych, osiem czerwonych i 6 białych. Proszę mi przynieść trzy próbki jednakowego koloru. Obojętne, czy pan przyniesie próbki białe, czarne, czy czerwone.

Gdy asystent wszedł do pokoju dr Geocenta, okazało się, że paliła się tam żarówka i w pokoju było zupełnie ciemno. Asystent szybko odnalazł próbki marmurowe, ale oczywiście nie mógł odróżnić ich kolorów. — Ale, to nic nie szkodzi — pomyślał — wezmę właśnie tyle, ile potrzeba, aby mieć przynajmniej 3 próbki jednego koloru.

Ile próbek wziął asystent?

ZMARTWIENIE BOCIANÓW.



— Musimy jakoś załatwić ten problem z tymi weekendowemi autami. Nie możemy przecież latać za ludźmi po całym kraju. „Esquire".

SŁUSZNE PRZYPUSZCZENIE.



— Ojciec do córki: — Nie oglądaj się, ale mam wrażenie, że twoje drużki zachowują się nieco nienormalnie... „Esquire".

O tak! — to warto
zobaczyć... przeczytać... usłyszeć...



NA SCENIE

WARSZAWA. W Teatrze Nowym wystawiono nową sztukę Brunona Winawera, „podróż dziewiczą w 3 aktach" pt. „Żywy ładunek". Rzecz dzieje się na pokładzie okrętu pasażerskiego „Kopernik", płynącego z Europy do Ameryki. Główną postacią sztuki jest wybitny chirurg, który po nieudanej operacji zamierza zacząć na Nowym Lądzie nowe życie. Plany psuje i wypacza niefortunna miłość. — W roli lekarza ujrzeliśmy p. Wesołowskiego. Pozatem trzeba wymienić z pośród wykonawców pp. Lindorfównę, Rolanda, Niwińską, Krzemińskiego, Dominiaka, Ciecierskiego.

Teatr Malickiej wystawił sztukę znakomitego pisarza hiszpańskiego, M. Unamuno, pt. „Poprostu człowiek". Autor przedstawia człowieka o silnych nerwach, który postanawia nie liczyć się z opinją, z przeciętnymi poglądami otoczenia. — Główne role przypadły pp. Sawanowi, J. Piaskowskiej i Zawistowskiemu.

KRAKÓW. Teatr krakowski obchodził jubileusz 30-lecia pracy scenicznej Wacława Nowakowskiego, specjalisty od ról repertuaru poetyckiego. To też na uroczystości jubileuszowej ujrzeliśmy go w „Zaczarowanem kole" L. Rydla, w roli Wojewody. Nowakowski pięknie recytował wiersz, całej zaś postaci nadał szeroki gest. Z innych wykonawców zasłużyła na pochwały przedewszystkiem p. Jabłonowska jako Młynarka. W pamięci utrwaliły się także role p. Karbowskiego (który był reżyserem sztuki) jako świetnego drwala, p. Burnatowicza (Jasiek), p. Woźnika. Dekoracje projektował p. Gajewski.

KATOWICE. Sztuka J. Iwaszkiewicza „Lato w Nohant" znalazła na scenie teatru im. Wyspiańskiego starannych i pieczołowitych realizatorów. Reżyserował ją p. W. Biegański, który sam wystąpił w roli „Szopena", dając ciekawe ujęcie tej postaci. George Sand zagrała bardzo dobrze p. Bronowska. P. Martini odtworzyła z powodzeniem postać Solange. Dekoracje opracował p. Jarnutowski. **J.**

NOWE KSIĄŻKI

Maurycy Paleologue, „Aleksander I." Wyd. „Atlas", Warszawa-Lwów.

Wielki znawca historji i psychologji rosyjskiej a były ambasador francuski w Rosji, który w licznych książkach opisał przełomowe chwile rosyjskiej monarchji podczas wojny, wydał ostatnio wysoce ciekawą książkę o carze-mistyku Aleksandrze I, która obecnie, w polskiem tłumaczeniu, wydana została przez Książnicę „Atlas". Dzieje tego monarchy pouczają, jak bardzo zmienia się perspektywa psychologiczna, z której oceniamy naszych współczesnych: Aleksander I przez długie lata uchodził w całej Europie za najbardziej oświeconego i szlachetnego monarchę, a nawet w Polsce znajdował wielu zwolenników. I właściwie nie możemy się dziwić jego wielbicielom: miał wiele uroku osobistego, był gładki, inteligentny, robił wrażenie marzącego o zaświatach i szukającego sprawiedliwości na ziemi.

Ale wszystkie te zalety cara Aleksandra wyrosły na podłożu chorem, nieskoordynowanem, typowo rosyjskiem. Nie nadarmo był synem Pawła I a wnukiem Katarzyny II, chociaż tę filjację zaczepia wielu pamiętnikarzy. Bądźcobądź wzrósł w atmosferze Zimowego Dworca i Kremla, i mimo zapewne najlepszych chęci uwolnienia się od czadu, idącego z ponurej historji Rosji, nie miał dosyć sił, aby to uczynić: nie mogąc dać sobie rady w życiu realnem, ze sobą samym i ze swym narodem, ratował się ucieczką w dziedzinę mistycyzmu, która, zwłaszcza pod koniec życia, całkowicie nim owładnęła. Dla poznania nietylko epoki napoleńskiej, ale również podłoża przewrotu rosyjskiego, książka niezwykle ciekawa i świetnie udokumentowana. **JGM.**

Prof. U. J. Tad. Estreicher i Ludw. Tomanek: „Chemja zdobyła świat". Bibljoteka naukowa dla młodzieży. Księgarnia Powszechna — Kraków — Warszawa.

Gdy zobaczy się na pomysłowej okładce tej książki, którą to okładkę skomponował Józef Ratzko, nazwisko wybitnego uczonego, jednego z największych polskich chemików, od wielu lat profesora chemji U. J. i dyrektora uniwersyteckiego Zakładu Chemji dra Tadeusza Estreichera, a z tem nazwiskiem związane nazwisko Ludwika Tomanka, zarazem autora doskonałej monografji o Łukasiewiczu, jak też autora iluż dowcipnych „Filmów współczesnych" i fraszek w „IKC", podpisywanych popularnym pseudonimem Tommy — można już zgóry mieć nadzieję, że z takiego „małżeństwa" powstać musiało niebylejakie dziecko. A gdy się to dziecko-książkę zacznie czytać, nadzieja ta staje się pewnością i pogrążamy się tak przyjemnie w lekturze tej książki o chemji, jakby to był jakiś miły i lekki romansik. Na tem właśnie polega największa umiejętność autorska, ażeby rzecz ścisłą, rzecz nauki podać w formie takiej, by zachęcić do czytania i zapewnić lekkochłonność tej lektury. Tą drogą popularne książki naukowe filtrują w społeczeństwo wiedzę, której poważną drogą studjów czy suchych, dla naukowców przeznaczonych podręczników, żadną miarą nigdy nie mogłoby to społeczeństwo sobie przyswoić. Poważny ciężar wiedzy reprezentowany przez znakomitego profesora chemji i dyrektora najlepiej w Polsce postawionego Zakładu chemicznego został przybrany w lekką opowieściową, nieraz nawet figlarną formę przez zgrabne pióro feljetonisty i wytrawnego publicysty, który doskonale zdaje sobie sprawę z tego, jak należy podać jakąś poważną rzecz, aby przeciętny czytelnik nietylko nie odrzucił takiej lektury, lecz — wprost przeciwnie — zapalił się do niej i z niej skorzystał. Toteż nie ulega wątpliwości, że wielką korzyść odniosą z tej książki wszyscy jej czytelnicy — zarówno młodzież, — „Chemja zdobyła świat" — oto tytuł tej książki, która niewątpliwie zdobędzie czytelników temwięcej, że wydana starannie i pięknie, z dowcipnemi rysunkami Charliego, jest dalszym tomem „Bibljoteki naukowej dla młodzieży", wydawanej przez krakowską Księgarnię Powszechną, która to serja książek ma już ustaloną jaknajlepszą markę. **W. Z.**

POLSKIEGO RADJA NAJLEPSZE AUDYCJE

Niedziela, 22 stycznia.

9.15 Transm. nabożeństwa z kościoła św. Anny w Warszawie.
12.03 Poranek symfoniczny z Poznania.
13.15 Muzyka obiadowa z Katowic.
16.10 Transm. z Paryża — mecz Polska—Francja.
19.30 Występ Eugenji Umińskiej (skrzypce).
21.20 Muzyka taneczna, w przerwie aud. „Śląskiej Pozytywki".

Poniedziałek, 23 stycznia.

15.30 Muzyka obiadowa z Poznania.
17.05 „Powstanie styczniowe w polskiej powieści" — szkic literacki.
17.20 Muzyka polska.
19.00 Koncert rozrywkowy.
21.00 Zapomniane utwory — recital fortepianowy.
22.00 „Dzieje symfonji" — audycja muzyczna.

Wtorek, 24 stycznia.

8.10 Transm. ciągnienia miljona z Dyrekcji Loterji.
15.30 Muzyka obiadowa ze Lwowa.
16.30 „Do tańca gra Mała Orkiestra".
17.30 „Z pieśnią po kraju".
19.00 Koncert rozrywkowy.
21.00 Opera Mincheimera „Mazepa".

Środa, 25 stycznia.

15.30 Muzyka obiadowa z Wilna.
16.35 Recital śpiewaczy Bendera.
19.00 Fragm. z komedji muzycznej „Na falach eteru".
19.40 Muzyka lekka i taneczna.
21.00 Koncert chopinowski.
21.40 Wieczór autorski Żeleńskiego-Boya.
22.00 Muzyka taneczna.

Czwartek, 26 stycznia.

11.25 Walce i marsze koncertowe.
15.30 Muzyka obiadowa w wykonaniu Ork. Rozgł. Poznańskiej.
17.15 Koncert popularny.
19.00 „Wieczór Jana Straussa".
21.00 Dramat Słowackiego „Zawisza Czarny".
22.00 Muzyka taneczna.
23.05 Koncert muzyki polskiej.

Piątek, 27 stycznia.

15.30 Muzyka obiadowa z Krakowa.
16.35 Reportaże z baletów: „Gwiazdy wschodzą i zachodzą".
18.30 „Życie dawnego górnika" audycja.
19.00 Koncert rozrywkowy.
21.15 Koncert symfoniczny z Filharmonji Warsz.

Sobota, 28 stycznia.

15.30 Muzyka obiadowa ze Lwowa.
16.35 Koncert kameralny.
17.10 „Złoty liść" — feljeton.
17.25 „Koncert w Hotelu Lambert" — aud. muz.
19.15 Koncert rozrywkowy.
21.00 „Halo, tańczmy" — muzyka taneczna.
21.55 „Fifi ma głos" — rozwiązanie konkursowej Godziny Niespodzianek.
22.10 Godzina niespodzianek.
23.15 Muzyka taneczna.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych materjałów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie, do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

Zakłady Graficzne „I. K. C.", Kraków, Wielopole 1, pod zarządem Franciszka Czajki. — Miejsce wydania: Kraków, Wielopole 1